




ARKADIUSZ S. WIĘCH

 <https://orcid.org/0000-0003-4888-1129>

Uniwersytet Jagielloński

Z Mościsk do Jugowa

Relacje Józefy Wójcik i Marii Kocur repatriantek z Kresów Wschodnich¹

Życie codzienne bywa różnie definiowane². Tomasz Szarota zwrócił uwagę, że może ono posiadać tyle definicji, ilu zajmujących się nim badaczy³. Można je rozpatrywać z perspektywy materialnej (co wpływa na warunki ludzkiego życia) oraz antropologicznej (kwestie związane ze sferą duchową, mentalną). Pośród składających się na nie zagadnień wymienić można: warunki egzystencji, warunki i metody pracy, konsumpcje (m.in. odzież, wyposażenie mieszkań itp.), dzieje rodziny, położenie dzieci i kobiet, seksualność, czas wolny, obyczaje, poglądy oraz mentalność⁴. Poznawaniu poszczególnych aspektów codzienności służyć mogą różne materiały źródłowe: akta urzędowe, materiały prasowe i archiwalne, fotografie, pocztówki, korespondencja, pamiętniki, wspomnienia. W odniesieniu do wieku XX, zwłaszcza do okresu poprzedzającego wybuch II wojny światowej, niej samej oraz dziesięcioleci po jej zakończeniu, niezwykle wartościowym materiałem źródłowym okazują się także

¹ Autor składa serdeczne podziękowania Joannie Tarapackiej z Jugowa za okazaną pomoc podczas realizacji nagrań.

² M. Bogucka, *Życie codzienne – spory wokół profilu badań, definicji*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 1996, t. 3, s. 242-253.

³ T. Szarota, *Życie codzienne – temat badawczy czy tylko popularyzacja?*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 1996, t. 3, s. 239-245.

⁴ M. Bogucka, *op. cit.*, s. 242-253.

relacje ustne tzw. „zwyczajnych ludzi”, zbierane przez badaczy⁵. Jak słusznie zauważają Dobrochna Kałwa i Barbara Klich-Kluczevska:

„Zwyczajni ludzie” przestają być marginesem, biernym przedmiotem zewnętrznych działań czy zobiektywizowanych procesów historycznych, stając się aktywnymi aktorami historii, których decyzje i działania kształtują rzeczywistość na jej najbardziej podstawowym poziomie – codzienności. Rangę tematów centralnych zyskują wówczas życie codzienne z jego praktykami, rytuałami, porządek normatywny i formy jego przekraczania, prywatna sfera z jej intymnym epicentrum osobistych myśli i emocji. Źródłami o podstawowym znaczeniu zaczynają być autobiograficzne zapisy i osobiste świadectwa, wśród których szczególna rola przypada ustnym relacjom, powstającym dzięki inicjatywie historyków⁶.

Jeszcze do niedawna relacje *oral history* przez niektórych badaczy traktowane były jako dodatkowe, pełniące funkcję uzupełniającą źródło historyczne⁷. Zarzucano im subiektywne podejście naznaczone indywidualnymi doświadczeniami jednostki. Obecnie jednak podejście to ulega zmianie, a pozytywistyczny dogmat o primacie źródeł pisanych nad ustnymi przestaje być powszechnie obowiązującym⁸. Jest to o tyle istotne, że podczas badania życia codziennego w przeszłości, zwłaszcza w jego antropologicznym ujęciu, często źródła pisane mogą okazać się nie wystarczające. Poddane analizie źródłowej relacje ustne wypełniają istniejącą lukę i pozwalają spojrzeć na badane zagadnienie w szerszym, interdyscyplinarnym ujęciu⁹. Szczególnie dobrze widoczne staje się to w przypadku próby odtworzenia losów mieszkańców dawnych polskich Kresów, którzy na skutek zaistniałej w wyniku II wojny światowej sytuacji zmuszeni zostali do opuszczenia swoich dotychczasowych domów i przesiedleni na tzw. Ziemię Odzyskane, jak w okresie PRL-u określano północne i zachodnie tereny państwa polskiego przyłączone do niego w wyniku postanowień konferencji pokojowej w Poczdamie w 1945 r.¹⁰

⁵ Zob. W. Kudela-Świątek, *Odpamiętanie... O historii mówionej na przykładzie narracji biograficznych kazachstańskich Polaków o represjach na tle narodowościowym i religijnym*, Kraków 2013.

⁶ D. Kałwa, B. Klich-Kluczevska, *Codziennosc peryferyjna. Pamięć o PRL mieszkańców Ustronia – studium przypadku*, „Konteksty” 2011, nr 1, s. 57.

⁷ Zob. P. Filipowski, *Historia mówiona i wojna*, [w:] *Wojna. Doświadczenie i zapis*, red. S. Buryła, P. Rodak, Kraków 2006, s. 13-35.

⁸ M. Kurkowska, *Archiwa pamięci – oral history*, „Historyka” 1998, t. 28, s. 67-76; M. Kurkowska-Budzan, *Informator, świadek historii, narrator – kilka wątków epistemologicznych i etycznych oral history*, „Wrocławski Rocznik Historii Mówionej” 2011, nr 1, s. 9-34; *Historia mówiona. Elementarz*, oprac. M. Kurkowska-Budzan [et al.], Warszawa 2008.

⁹ W. Kudela-Świątek, *Interdyscyplinarność w badaniach oral history: konieczność czy sposób na nowatorstwo?*, [w:] *Historia mówiona w świetle nauk humanistycznych i społecznych*, red. S. Niebrzegowska-Bartmińska, J. Szadura, M. Szumiło, J. Kłapeć, Lublin 2014, s. 61-88.

¹⁰ Zob. *Wysiedlenie, wypędzenia i ucieczki 1939-1959. Atlas ziem Polski. Polacy, Żydzi, Niemcy, Ukraińcy*, red. W. Sieniewicz, G. Hryciuk, Warszawa 2008; M. Ruchniewicz, *Tzw. repatriacja ludności polskiej z ZSRR w latach 1955-1959*, „Dzieje Najnowsze”, 1999, nr 31/2, s. 171-177; M. Ruchniewicz, *Repatriacja ludności polskiej z ZSRR w latach 1955-1959*, Warszawa 2000; W. Borodziej, *Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby. Polska w stosunkach międzynarodowych 1945-1947*, Londyn 1990.

Wspomniane powyżej przesiedlenia w historiografii bywają często określane mianem repatriacji, co nie do końca odzwierciedla rzeczywistość, jednakże na potrzeby tej pracy pozwalam sobie na pewne uproszczenie i używanie owego terminu zamiennie ze sformułowaniami: przesiedlenia i wysiedlenia¹¹. Zorganizowana repatriacja była możliwa dzięki panującej w ZSRR po śmierci Józefa Stalina „odwilży” i zawartej w 1957 roku pomiędzy rządami PRL i ZSRR umowy. Szacuje się, że w latach 1955-1959 do Polski przyjechało około 250 tysięcy repatriantów, głównie z obszaru Kresów Wschodnich, co stanowiło 97% wszystkich powracających ze Wschodu¹².

Zaprezentowane poniżej rozmowy autora z dwiema siostrami – Józefą Wójcik (rocznik 1930) i Marią Kocur (rocznik 1928) z d. Ziober – stanowią przykład relacji ustnych, z których nie tylko poznać możemy losy polskich repatriantów, ale także lepiej przyjrzeć się życiu codziennemu trzech różnych rzeczywistości (okresu międzywojennego, II wojny światowej oraz lat powojennych) na obszarze dawnych Kresów (okolice Mościsk na dzisiejszej Ukrainie) oraz na Dolnym Śląsku (Jugów). Dodatkowym atutem wybranych rozmów jest fakt, iż obie rozmówczynie opisują po części te same wydarzenia rozgrywające się w obrębie jednej rodziny, która tym samym urasta do rangi swoistego mikrokosmosu polskiego społeczeństwa. Przedwojenne Mościska położone na terenie symbolicznego pogranicza kulturowego były miejscem spotkania i przenikania się polskich, ukraińskich i żydowskich tradycji¹³. Z kolei powojenny Jugów, dawny niemiecki Hausdorf, dla przesiedlonych tam Polaków stanowił obszar kulturowego spotkania z zamieszkującymi go Niemcami¹⁴. Dla tych ostatnich z kolei stanowił *Heimat*, który na skutek wojennych wydarzeń musieli opuścić¹⁵. Doszło do wymiany ludności, tym bardziej symbolicznej, że miejsce jednych wysiedlanych (Niemców) zajmowali, zmuszani do opuszczenia swoich kresowych Ojczyzn, inni wypędzeni (Polacy)¹⁶. Nowo przybyli mieszkańcy pochodzili głównie z środkowej Polski oraz przedwojennych Kresów. Znaczną grupę stanowili także polscy reemigranci z Francji oraz z Belgii. Była to grupa mocno zróżnicowana i początkowo odno-

¹¹ Na temat różnic znaczeniowych zob. M. Ruchniewicz, *Tzw. repatriacja...*, s. 171-173.

¹² *Ibidem*, s. 175.

¹³ A. Stępnik, *Pogranicze jak przestrzeń badawcza*, [w:] *Galicja 1772-1918. Problemy metodologiczne, stan i potrzeby badań*, t. 1, red. A. Kawalec, W. Wierzbieniec, L. Zaskilniak, Rzeszów 2011, s. 13-20; zob. G. Babiński, *Pogranicze polsko-ukraińskie. Etniczność, zróżnicowanie religijne, tożsamość*, Kraków 1997.

¹⁴ A. Doboszevska, *Pamięć przesiedlonych. Obraz Ukrainy i Ukraińców w świadomości mieszkańców wsi Jugów na Dolnym Śląsku*, „Krakowskie Pismo Kresowe” 2010, nr 2, s. 129-152.

¹⁵ K. H. Ehrenforth, *Mała ojczyzna (Heimat) jako prawo i obowiązek – wyzwania w europejskim kontekście*, „Ars Inter Culturas” 2015, nr 4, s. 281-288; zob.: A. Burdziej, *Utracony Heimat. Pamięć rodzinna a tożsamość „niemieckich wnuków” we współczesnej prozie niemieckiej*, Toruń 2018.

¹⁶ Zob. S. Jankowiak, *Przemiany narodowościowe na „Ziemiach Odzyskanych” po drugiej wojnie światowej*, [w:] „*Ziemie Odzyskane*” po drugiej wojnie światowej, red. C. Osękowski, G. Strauchold, Zielona Góra 2015, s. 33-44; T. Urban, *Utracone Ojczyzny. Wypędzenia Niemców i Polaków w XX wieku*, Warszawa 2007; B. Nitschke, *Wysiedlenie czy wypędzenie? Ludność niemiecka w Polsce w latach 1945-1949*, Toruń 2000; R. Traba, H. J. Bömelburg, *Wspomnienia i kultura pamięci. Ucieczka i wypędzenie w niemieckich i polskich relacjach naocznych świadków*, [w:] *Kraina tysiąca granic. Szkice o historii i pamięci*, Olsztyn 2003, s. 199-210.

sząca się do siebie z dużą nieufnością, wyczuwalną nawet po upływie kilkudziesięciu lat od zamieszkania w Jugowie¹⁷.

Zakres chronologiczny rozmów obejmuje czas od zakończenia I wojny światowej (w tym wypadku mowa o tzw. pamięci rodzinnej) aż po lata nam współczesne. Obie rozmowy przeprowadzone zostały 18 września 2014 r. w Jugowie i stanowiły część realizowanego przez autora, w ramach grantu *oral history* Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” we Wrocławiu, projektu badawczego poświęconego życiu codziennemu mieszkańców Gór Sowich w latach 1945-1970.

Przedstawiony poniżej zapis jest transkrypcją obu przeprowadzonych rozmów. W edycji starano się zachować styl tekstu, niejednokrotnie zawierający formy gwarowe, więc ograniczono się jedynie do modernizacji interpunkcji i ortografii. Miejsca zaznaczone nawiasami kwadratowymi oznaczają pominięcia wypowiedzi dotyczących czasów nam współczesnych lub komentarze redakcji. Pełne transkrypcje oraz nagrania rozmów przechowywane są w Archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość we Wrocławiu¹⁸.



Józefa Wójcik, urodzona 18 grudnia 1930 r. w Rządkowicach koło Mościsk

Arkadiusz S. Więch (A.W.): *Jakie jest Pani pierwsze wspomnienie związane z dzieciństwem? Kiedy ktoś pyta Panią o dzieciństwo to, z czym się ono kojarzy?*

Józefa Wójcik (J.W.): No ja nie miałam ciekawego dzieciństwa, bo akurat miałam dziewięć lat, jak wybuchła wojna. To było jeden koszmar. To uciekało się, bo bomby się sypały. To uciekało się, bo Niemcy przychodzili. To uciekało się, bo Ruskie znowu przychodzili. Także trzy razy przechodzili przez nasze te tereny.

¹⁷ T. Bieda, *Wśród malowniczych wzgórz nad Włodzicą*, Nowa Ruda 2007, s. 186-190.

¹⁸ Archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość we Wrocławiu, sygn. AHM-411: Rozmowa z Józefą Wójcik; sygn. AHM-412: Rozmowa z Marią Kocur.

A.W.: A gdzie Pani mieszkała wtedy?

J.W.: W Mościskach¹⁹. Koło Mościsk, w Rzadkowicach²⁰. To były dwa kilometry od miasta. Tam chodziłam do szkoły. Tam chodziliśmy do kościoła i tak, że cały czas do czterdziestego piątego roku to tak człowiek żył pod strachem. Bo jakie to mogło być dzieciństwo? Szkołę kończyło się na raty. Raz, że szkoły pozajmowali; nie wiem, wojsko pozajmowało czy coś. Już nie pamiętam, jak to było. Były piękne. Szkoły żeńska i męska były, ale później tego... Ale później w jakiś takich żydowskich kamienicach myśmy chodzili do szkoły i tak z przerwami. Ale skończyłam. Skończyłam siedem klas podstawówki i więcej nie skończyłam, bo nie... Zresztą później już przyszli Ruski, to już myśmy nie mieli nic do powiedzenia. Już wojna się skończyła. To my, Polacy... I nikt nie szanował Polaków... I Niemca ani tego. A później, a później tego Ruscy nas wszystkich... Nam nie dali pracy. Posprowadzali Ruskich z Rosji. Oni podostawiali wszędzie prace, a nas Polaków i dzieci, i wszystko, [człowiek] skończył szkołę do kołchozu i wszystko²¹. Musieliśmy iść do kołchozu, do pracy. Za darmo żeśmy pracowali. Nic nam nie płacili. Trudodni²² nam pisali. Tak jak na przykład dniówki się pisze. Ale nic nam później nie płacili. Na końcu roku jakiś tam obliczyli, jak odważyli zboże na kołchoz. Na to, na to, na to. Powywozili. No to coś tam później dali po parę kilo zboża. Żeście źle pracowali, to nic nie dostaniecie. I tak się żyło. I tak myśmy się męczyli. Nie miałam, nie miałam ani dzieciństwa, ani młodości. Nic nie miałam. Dopiero jak przyjechałam tutaj. To nas zaciągnęli właśnie przez ambasadę, nam załatwili. Brat i siostra załatwili ten wyjazd tutaj do Polski. A później w pięćdziesięciu... To było w pięćdziesiątym piątym roku. W czerwcu my tu przyjechaliśmy. Ostatniego czerwca. A później w pięćdziesiątym ósmym roku to Gomułka zrobił repatriację²³, to za darmo wszyscy jechali. Kto chciał, to wszyscy powyjeżdżali. A my wyjechaliśmy tak. No dopiero tutaj zaczęłam trochę życie. Ale już miałam dwadzieścia pięć lat. No, ale jakoś tam się urządziłam. Poszłam zaraz do pracy. Siostrę, mnie... Nas było ośmioro rodzeństwa. To te dwoje byli w Polsce. Później trzecia siostra też wyjechała. A myśmy później tak się porozchodzili. Brat do Wrocławia zabrał brata tego co tego... I tam wziął go do szkoły. Mieszkał w internacie. Wykształcił się. Był technikiem samochodowym. Najmłodsza siostra została. Mama i tato, najmłodsza siostra zostali też u najstarszej siostry mieszkać. Jeszcze jedna siostra poszła znów. Tak my się porozchodzili wszyscy. Myśmy... I tego... I no i tutaj chodzili, szkołę pokończyli. A ja zaraz poszła

¹⁹ Mościska (ukr. *Мостиська*) – miasto na Ukrainie w obwodzie lwowskim. W okresie międzywojennym stolica powiatu mościskiego w województwie lwowskim.

²⁰ Rzadkowice – dawna wieś w powiecie mościskim. Obecnie część Mościsk.

²¹ *Колхоз* (ros.) – rodzaj spółdzielni rolniczej, charakterystycznej dla terenów dawnego ZSRS, powstałej w wyniku przymusowego zajęcia ziemi należącej do indywidualnych rolników przez państwo.

²² *Трудодни* (ros.) – „dni pracy”. Była to jednostka oceny i rozliczania pracy w kołchozach.

²³ Mowa o repatriacji na mocy porozumienia Władysława Gomułki, Józefa Cyrankiewicza z Władysławem Wichem i Nikołajem Dudorowem z 1957 r. Zakładało ono przesiedlenie do Polski wszystkich osób, które przed 17 września 1939 roku posiadały obywatelstwo polskie oraz ich współmałżonków i dzieci. Szacuje się, że z terenów ukraińskiej SRS w latach 1955-1959 wysiedlono ponad 75 tys. osób.

do pracy, do handlu. Do PSS-u²⁴ poszłam. I już tam pracowałam, no, aż do emerytury tam pracowałam. Byłam bardzo zadowolona ze swojej pracy. Lubiłam tę pracę. A tego. A później ta jedna siostra wyszła za męża, za jednego takiego faceta w Jugowie. Bardzo dobrze sobie żyją. Do Francji wyjechała. Jest we Francji w tej chwili. No, jedna tutaj mieszka też [...]. Brat jest we Wrocławiu. Jeden brat umarł. I siostra najmłodsza też umarła. No, a teraz my zostali. Nas tu są cztery siostry i jeden brat we Wrocławiu. I to wszystko. Taka jest rodzina. No, no pracowałam od...

A.W.: Wspomniała Pani o swoim rodzeństwie i o dzieciństwie, które było trudne. A pamięta Pani jeszcze ten okres przed wybuchem wojny?

J.W.: Tak. Pamiętam. Mieliśmy dobrze. Dlatego, że mieliśmy gospodarkę taką małą. No i ojciec nasz był szewcem. Dyplomowanym, który mógł mieć, jak to się kiedyś mówiło, czeladników. To przeważnie miał tak po trzech, czterech czeladników. Także myśmy nie mieli źle. Bo tak jak ludzie na wsi kiedyś mieli, to... To, co urosło mu na polu, to tam z tego żyli. To tam ta krowa, mleko, chleb i tego. A myśmy, nawet tak powiem, tak jak było, myśmy nawet zawsze co niedziela mieli mięso na obiad. Bo zawsze mama²⁵... Nieraz z mamą szłam, to żeśmy szli do takiego, Sykuliński się nazywał, ten rzeźnik. To żeśmy tam zawsze poszli, to mama tam zawsze coś kupowała. Ponieważ pamiętam, ta pani z rzeźni nieraz mi dała takie, kawałeczek salcesonu czy coś tam mi dała. No i cieszyliśmy się z tego wszystkiego. Było dobrze. A we wsi naszej, to byliśmy tak jakoś przez tata, byliśmy bardzo poważani. Bo nasz tato to na tamte czasy, on był na pierwszej wojnie światowej. I on przyjechał – jak z tej wojny wrócił, to ja tego nie wiem, tylko z opowiadania. No to, no taki... Tak na polityce, na wszystkim się znał. Tak, że tak ze wsi nieraz, bardzo często, przychodzili do nas chłopcy porozmawiać z tatem. Do Benedykta. Bo on się Benedykt nazywał²⁶. To tato tam im opowiadał to, tamto. I taki był, jakiś taki inny niż to. Bo to ludzie takie były. Ni szkoły niektórzy nie mieli. Ni tego. I nawet nas bardzo tam poważali na wsi. Nas, jako dzieci i tego. No tak kulturalnie nas też wychowali rodzice, żeśmy, ja pamiętam, żeśmy szli do szkoły, żeśmy się każdemu kłaniali. Nie mówiło się wtedy: „Dzień dobry”. Tylko się mówiło: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Każdego i tego chwalili nas ludzie. No i chodziliśmy do szkoły. Dobrześmy się wszyscy uczyli. Zawsze nas wyróżniali nauczyciele. No to brat ten najstarszy, co teraz jeszcze jest od Wrocławia, to on trochę tak, on też dobrze się uczył, ale on tak troszkę był chuligan, to go nieraz, lanie dostawał od nauczyciela w szkole. To pamiętam, jak to wszystko było. Ale fajnie było. Dobrze było.

A.W.: Jakież koleżanki, koledzy?

J.W.: No mieliśmy. No pewnie żeśmy mieli. Mieliśmy, chodziliśmy. Tylko, że kiedyś to tak nie... W skrypkach nas mama trzymała. Tato nie. Tato nam trochę dawał

²⁴ PSS – Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem”.

²⁵ Katarzyna Ziober (1896-1982).

²⁶ Benedykt Ziober (1889-1956).

luzu. Ale mama to nas bardzo pilnowała. Nie wolno nam było gdzieś tam chodzić tego. Wieczorem absolutnie. Żeśmy były takimi dziewczynami dorosłymi, to żeśmy w maju zawsze chodzili śpiewać do figurki. Do tego, gdzie tam, człowiek nie miał zielonego pojęcia o tych sprawach, co dzisiaj już takie dzieci wszystko wiedzą. Nie. No bo nie było nic. Ni radia, ni telewizji, gazety, niczego. Tak się żyło z dnia na dzień. Mama nam lanie spuszczała, jak myśmy nie raz późno przyszli. A nawet człowiek nie miał zielonego pojęcia, że można coś tam jakieś głupstwo zrobić po tym wszystkim. No ale, takie, takie były czasy. No ale wychowaliśmy się, mi się zdaje, że na dobrych ludzi i na porządnym. I nikomu krzywdy nie robiliśmy ani nic. I z kulturą też tak nie było najgorzej. Umieliśmy się wszędzie znaleźć i odezwać, i porozmawiać. No fajnie było. Tylko później ta wojna i ten czas powojenny. No, aż dożyliśmy wszyscy aż do tego, tego czasu. Ale szanujemy się wszyscy. Nas było osiem rodzeństwa. I my się wszyscy kochamy. Bardzo szanujemy. No dwoje z nas już umarło tam. Ale my się bardzo szanujemy. My się bardzo kochamy. Jakby się któremuś jaka krzywda działa, czy coś, to nie ma mowy, żebyśmy nie pomyśleli o tym, czy nie pomogli jakby trza było, czy co jest. Jest tak do tej pory. No. I tak.

A.W.: A pamięta pani sąsiadów z okolic Mościsk z okresu przedwojennego? Jak się układały relacje z nimi na co dzień?

J.W.: Tak. No różni ludzie byli. Byli różni ludzie. To tak kiedyś po sąsiedzku, to na jabłka się szło do ich sadu. A byli tacy ludzie, że tacy zazdrośni, zawistni, że nic by nie doł, że nic by nie użyczył. Nic by ni tego. Tylko taki samy dla siebie [...]. Ale żyło się. Takie były czasy. Taki był świat. Takie były ludzie. No i w tym się żyło. Ale z tego po prostu ja nie wiem, jak kto, ale ja czy moje rodzeństwo myśmy siebie jako rodzeństwo, myśmy bardzo się szanowali. Jedno za drugim byli. Jakby coś tego mieliśmy, właśnie ten stryku, co go Ukraińcy zarżnęli, to on też był szewcem i mieszkał od nas kawałek. Na innej wsi. Bo z Ukrainką się ożenił. No bo kiedyś tak było. Żenili się. A później nie...

A.W.: Jedni z drugimi...

J.W.: Tak. Polak z Ukrainką, Ukrainiec z Polką. No to myśmy jak szli do szkoły, a ten stryku chodził zawsze do miasta na jakieś zakupy, coś tam. No to jak myśmy tego stryka spotkali, to zaraz w rękę się kiedyś całowało stryka; czy ciotkę, jak się spotkało, to w rękę się całowało. No ten stryku dał nam pięć groszy. Zawsze pięć groszy, pamiętam. O, jakie to było szczęście! No to szłam do Żyda, do takiego sklepu, i tam kupiłam cukierki. Cukierki kupiłam za te pięć groszy. Ale nie zjadłam sama, tylko tam sobie zjadłam, co tam uważałam, a resztę przyniosłam do domu i podzieliłam wszystkich, bo tak żeśmy się wszystkie lubili. Jedno za drugim było, żeby jedno drugiego biło albo coś tam. No tak jest jak po dzień dzisiejszy. No, a sąsiedzi to różni byli, różni byli. Tylko, że myśmy starali się z każdym grzecznie i dobrze, a jak ktoś był taki tego, tośmy do niego nie szli. To my się tam nie kolegowali z jego dziećmi, jak on tam.

Oni się może czuli lepszymi, może coś takiego. To różnie to było. Tak się człowiek dostosowywał do otoczenia i do ludzi, i do wszystkiego.

A.W.: *A czy w Pani rodzinnej miejscowości cała ludność była polska czy także ukraińska? Czy wyczuwało się jakieś różnice pomiędzy nimi?*

J.W.: Cała polska. W tym czasie nic się nie odczuwało. Wszystko było, wszystko było no zgodne. Nie było różnicy. No stryku ten, co mówię, on był ożeniony z Ukrainką, to oni do nas przychodzili na Boże Narodzenie, a tato z mamą, myśmy nigdy tam nie szli. No, bo kiedyś tak było. Gdzie rodzice szli, to dzieci tam nie mieli wstępu. Dzieci to były dzieci [...]. Oni jak byli ukraińskie święta, to oni szli tam do nich na święta. No wszystko było dobrze, wszystko było dobrze. A około naszy... Myśmy mieli, to byli Rzadkowice, Zakościele²⁷, Kresowice²⁸, Strzelczyska²⁹ i Mościska, to byli same Polacy. Tam gdzie, kto był z Polakiem czy Ukrainką. A później już tam na tych dalszych wsiach, to sama Ukraina była. Same Ukraińce były³⁰. Ale nic nikt nie wiedział o takiej różnicy, żeby to ten Polak, a ta Polka, to se z cerkwi poszedł, a ten do kościoła poszedł. Dopiero później w wojnie zrobiła się potem taka, taka nienawiść straszna. Nie wiadomo [...]. I tak się żyło. Ale takie były czasy i taki był świat, i wszystko było dobrze. No, a później, jak już wojna się skończyła, jak już Ruskie przyszli, no to co. Zaczęli wszystko zaraz, tyż znaleźli się kapusie, że powydawali wszystkich tych, co byli w AK, co byli w partyzantce; właśnie moja siostra była, brat był, to później wyjechał, to tu do wojska poszedł. A siostra właśnie uciekła, bo już zaczęli zamykać i na Sybir wywozili i tam do tego Katynia czy gdzie. I też uciekła do Polski, tam gdzieś. Po prostu na ulice do Przemyśla zajechała i tam ją jacyś ludzie gdzieś przegarnęli. No i chwala Bogu, że żyją, bo tak to już by nie żyli. No dopiero jak przyszli te. To dopiero zaczęli Ukraińcy... Ale Ukraińcy zaczęli mordować za Niemców.

A.W.: *Podczas okupacji niemieckiej?*

J.W.: Tak. To oni wtedy tego. A nic nie szło pójść na skargę ani nic. Bo oni widocznie posłużyli się nimi. Oni tego nie robili, ale to tolerowali. Bo przecież co noc były gdzieś jakieś pół wsi wyrznięli, to wypalili, to tego. I nic nie reagowali. Nic nie szło do tego. Musieli się Polacy sami bronić.

²⁷ Zakościele – dawna wieś w powiecie mościskim, obecnie część Mościsk.

²⁸ Kresowice (ukr. *Крисовичі*) – wieś na Ukrainie w rejonie mościskim obwodu lwowskiego.

²⁹ Strzelczyska (ukr. *Стрілецьке*) – wieś na Ukrainie w rejonie mościskim obwodu lwowskiego.

³⁰ Niestety nie dysponujemy dokładnymi danymi narodowościowymi. W spisie powszechnym z 1921 roku nie występowała kategoria „narodowość ukraińska”. Na podstawie kryterium wyznaniowego możemy określić, że na obszarze powiatu mościskiego w 1921 roku mieszkało 24 400 osób wyznania rzymskokatolickiego, które utożsamiano z Polakami, oraz 47 100 osób wyznania greckokatolickiego, które utożsamiano z ludnością ruską (O. Linkiewicz, *Lokalność i nacjonalizm. Społeczności wiejskie w Galicji Wschodniej w dwudziestolecu międzywojennym*, Kraków 2018, s. 26-29).

A.W.: *A w tej miejscowości, w której państwo mieszkali, czy dochodziło do takich właśnie ataków?*

J.W.: Tak. Ale nikogo nie zamordowali z naszej wsi bo... No, jakoś tak, nie wiem, czy Opatrzność Boża czuwała. A chłopcy sobie takie warte założyli, jak myśmy spali. Ale myśmy spali w ubraniach. Tak jak tego. Bo człowiek to nie raz tak się uciekało w pola, tam w zboża czy gdzieś tam się chowaliśmy. No to oni wartowali, ci mężczyźni. To całe noce wartowali. Jak już gdzieś słyhać było, że idą te banderowcy, no to wtedy wszystko na nogi i uciekało. A tak po tych wsiach, co była taka mieszana, co mieszane były, co był ten, to oni zganiłi ludzi do stodoły, podpalali. Żywcem palili, a jak nie to mordowali. Nie strzelali ani nic tylko rznęli. Tak rznęli ludzi jak zwierzęta. To było straszne. Straszne to było. Ja nie zapomnę, pokąd będę żyć. Ja to wszystko widzę. No, ale jakoś żeśmy przeżyli i dożyliśmy tych czasów, że właśnie później, jak siostra tam wyjechała, jak to można było, to nas sprowadzili przez ambasadę do tego. A jedna siostra [...] to wyszła za mąż w tym czasie, jak ja się starałam, te wszystkie papiery załatwiałam. To ona w tym czasie wyszła za mąż no i ona została, ona z nami nie wyjechała. Ona przyjechała dopiero w pięćdziesiątym ósmym, jak Gomułka ogłosił repatriacje. To wtedy za darmo wszyscy wyjeżdżali i dostali transport, i wszystko dostali, a myśmy wszystko musieli na własny koszt.

A.W.: *A Pani przyjechała wraz z rodzicami?*

J.W.: Tak, ja przyjechałam wraz z rodzicami i z rodzeństwem. To była Linka, Wiśka, Władek no i ja. Tak. To nas czworo dzieci przyjechało. I ojciec, i matka. Ojciec umarł zaraz w pięćdziesiątym szóstym roku w lutym, bo on tam dostał wylew. No zabrali go tam... Bo zawsze w maju trzeba było podpisywać pożyczkę. Musiało się Rosjanom dawać pożyczkę i koniec.

A.W.: *Na czym miała polegać ta pożyczka?*

J.W.: No, no takie pożyczke. Oni dali niby obligacje. Tam te na sto rubli, czy na pięćdziesiąt rubli, czy na ile rubli. To się państwu pożyczowało. Państwu się pożyczowało, a państwo rzekomo później miało oddać. Ale nigdy nikomu nic nie dali. No i tata wzięli, a myśmy nie mieli żadnych pieniędzy no, bo skąd. Nie pracowaliśmy na pieniądze. Za darmo żeśmy pracowali w kołchozie. Nie raz jeść nie było co. Ile razy człowiek był głodny. No, bo nie było nic, nie było nic. Pole nam zabrali, krowę nam zabrali. Wszystko. Tylko podwórko nam zostawili, żeby nic nie chować, nic nie trzymać, żeby w kołchozie robić. I różnie, różnie to było. No i tata zabrali do takiej, teraz to się mówi, do gminy. No i tam wszystkich zwoływali, żeby podpisywać pożyczkę. No i tato nie chciał podpisać. To była niby pożyczka, ale to było takie przymusowe. Musiało się. Tato nie chciał podpisać, bo mówi, że musi, że z czego da, jak my nie mamy co jeść, jak my nie mamy żadnych pieniędzy znikąd, to skąd my możemy tę pożyczkę dać. No i oni tata wzięli i zamknęli. I tam całą dobę go gdzieś trzymali. Nie wiem, w jakis

komórce czy w jakiejś, nie wiem, gdzie. Bo to byłam jeszcze dzieckiem, to tak dobrze wszystkim... No już nie takim. I tato z tego, i tam dostał wylew. Jak dostał wylew, to wtedy go już puścili do domu i już nie dali nam tej pożyczki. No to ja później miałam takich, taką znajomą panią z naszej wsi. Ona we Lwowie kiedyś żyła i pracowała w szpitalu we Lwowie i jakoś tak. Ja byłam młoda, ale już byłam taka zaradna. Jak... Ja zarządzałam całym domem. Wszystkimi się opiekowałam i wszystko. I ja załatwiłam przez nią szpital we Lwowie. No i tata zabrali właśnie do tego szpitala. I ona się tam nim opiekowała i trochę go doprowadzili do porządku. Ale nie za bardzo, bo nie mógł mówić. Myślał może, co chce powiedzieć, ale wypowiedzieć nie mógł. I z takim przyjechałam tutaj do Polski. No, ale nie żył długo bośmy w czerwcu przyjechali, a w lutym zaraz umarł. No. No to mama jeszcze trzydzieści lat żyła po tacie. No ja dopiero tutaj doszłam do normalnego życia, jak przyjechałam do Polski.

A.W.: Jak Państwo trafili do Jugowa?

J.W.: Bo siostra najstarsza mieszkała w Jugowie³¹ i myśmy wszyscy przyjechali do niej. Tu dwie siostry już mieszkały. I myśmy przyjechali, i tak żeśmy się wszyscy rozdzielili. Do brata do Wrocławia, do siostry, to do tego i tego. Ale później jakoś tak to wyszło, że szybko pozatwierdzili nam tu mieszkanie, pracę. No wszystko. I żeśmy ich odciążyli. No tylko mama jedna została najdłużej u siostry, aż do śmierci, a tak to myśmy się wszystkie porozchodziły. Prace żeśmy ponachodzili no i żyło się dobrze. I byłam ze wszystkiego bardzo zadowolona. Bo jak człowiek przyjdzie z takiej biedy, z takiego niedostatku, z takiego wszystkiego. Z takiej no... Jak to się mówi, z takimi złymi ludźmi się mieszkało i zawsze pod strachem i tego. To tu naprawdę było się szczęśliwym. Bo już było i co jeść, i w co się ubrać. No i praca była, i pieniądze były. To już było nie wiadomo co. To już było superdobrze.

A.W.: Jak lubiła Pani spędzać wolne chwile? Czy lubiła Pani gdzieś chodzić, z kimś się spotykać?

J.W.: No mieliśmy koleżanki. Na takie zabawy żeśmy chodzili. No takie, no takie błonie to się nazywało. To tam był taki facet, miał taką harmoszkę to żeśmy tam potańczyli, pobawili się i do domu. A tak to nie było żadnych takich rozrywek. No tak posiedzieliśmy, pośpiewaliśmy z koleżankami, ze znajomymi, z chłopakami czy tego. Jedyne rozrywki to były iść do kościoła, to na nieszpory, to na mszę. To w niedzielę to było życie tylko dla kościoła. Rano na mszę, po południu na nieszpory, a później tam po tych nieszporach jak się szło, to się tam gdzieś spotkało ze znajomymi. A z chłopakami to [...] nie było mowy. To ja już miałam chyba z osiemnaście lat, to jeszcze się bałam z jakimś chłopakiem chodzić bo mama krzyczała. Bo nie wolno było. Spojrzał jeden na drugiego z daleka i... To nie te czasy były, to nie te czasy. Niech pan Bóg

³¹ Jugów (niem. *Hausdorf*) – wieś w Polsce w powiecie kłodzkim w województwie dolnośląskim. Do 1945 roku w granicach III Rzeszy.

broni co to było, żeby się tam gdzie z chłopakiem w dzień spotykać czy całować. Już byłam dorosła to nie wolno było. Absolutnie. To było niedobre, niedobre. Bo co to dzisiaj te dzieci sobie porozmawiają i wiedzą o co chodzi, co do czego, a kiedyś nie było nic. Ni radia, telewizji [...]. No a kiedyś to było niedobre, że tak rodzice bronili. Nic dziecku nie powiedzieli. Dziewczynie czy to będzie tak, czy to będzie tak. No. To było niedobre. No ale takie były czasy i takie, tak rodzice...

A.W.: Były tematy, o których nie rozmawiano?

J.W.: Nie wolno było nawet się zapytać na taki temat. Zresztą oni sami nic nie wiedzieli. To tam, szczerze mówiąc, no to dzieci byli, bo byli, ale... A tak to nikt nic nie wiedział, co skąd, z czego, skąd się to bierze wszystko. Pamiętam te czasy. A myśmy to byli takie bardzo spostrzegawcze. Wszystko żeśmy tam nie raz podpatrzyli, to między sobą myśmy z tą jedną siostrą, co też jeszcze w Jugowie mieszka. To myśmy tam sobie porozmawiali to i tamto, ale cicho sza. Nic nie mogło wyjść poza nikogo. Nieraz tam coś od kogoś, nieraz od dzieci, od koleżanek, gdzieś w szkole coś. I tak się to człowiek dokształcał. Ale... A teraz. Teraz to dzieci mają dobrze [...].

A.W.: Jak wyglądały święta w domu rodzinnym, koło Mościsk?

J.W.: Tak. No to matko, na te święta tak się czekało, bo przez to, że zjadło się. No bo, tak szczerze mówiąc, nie jadło się tak jak teraz. Kiedy się ma apetyt na coś to się kupuje i się je. Tylko na święta sobie mama tam tych pączków usmażyła, to ugotowała, to była kapusta z grochem. To był barszcz, nie było z uszkami, tylko taki był barszcz. Było coś tam. Ryby też nie było. Było jakieś, jakiegoś śledzia tato kupił. Tak po kawałeczku wszystkim podzielił, bo to no, opłatek... Ale cieszyliśmy się. Była choinka. Na podłodze to była słoma. Taka była, taka była stajenka, ale cieszyło się na święta. Po kolędzie żeśmy chodzili. Poza okna to nas się zebrało... Myśmy zawsze chodzili sami, z rodzeństwem. Nas troje chodziło. Siostra, dwie siostry nas chodziło i ja. No bo później, jak ktoś coś dał, jakieś grosiki, no to się trzeba było dzielić. No a tak żeśmy sami, to chodziliśmy poza okna i się kolędowało. Jak się kolędowało, jak ktoś nie chciał, żeby kolędować, to tam zapukał do okna i żeśmy poszli. I tak żeśmy obeszli no kilkanaście domów. Tu pójdziemy, bo tu nas przyjmą, tam nie pójdziemy, bo tam nas odpukają. No i fajnie tam było. Przeszli my do tego domu. Mokre całe, bo to śniegi takie były duże. No, ale najpierwsza robota to była pieniążki policzyć, ile nam kto dał tych grosików. I cieszyliśmy się z tego. A na święta to żeśmy spali na tej słomie. Nie na łózkach, tylko na podłodze, na tej słomie żeśmy sobie spali, pod choinką. Ponakrywali żeśmy się. No, dobrze było. No takie były czasy i to było dobrze. I to nas cieszyło. I zdrowi żeśmy byli, jak nie wiem co. No święta i po świętach, a później się czekało drugich świąt. Jak była Wielkanoc [...].

A.W.: Pamięta Pani jakieś zwyczaje związane z Wielkanocą?

J.W.: No było też. No szło się święcić. Ksiądz przyjeżdżał do wsi i na kilka stołów postawili tam na takim miejscu. I tam ludzie wszyscy się schodzili i tam ksiądz poświęcił, no i później dopiero, dopiero na Wielkanoc, jak się przyszło z rezurekcji, to dopiero można, dała mama święcone. No tam były te jajka, kielbasę na stół pokroili. Tego wszystkiego. Nieraz jeszcze, nie wiem, niż do kołchozu nam to wszystko zabrali, to jeszcze żeśmy świnie uchowali, tego. To jeszcze zrobiło się swoje wyroby. Sami żeśmy robili. I tego. I na święta żeśmy sobie troszkę pojedli, bo coś tam upieczone było. To kielbasa była, to to. Później, jak po śniadaniu, to szliśmy święconą wodą kropić w pole. Pola kropić. Nie. Poświęcić. No i tak cieszyliśmy się tym życiem. I tak to wszystko leciało. Tak żeśmy, tak żeśmy porośli aż do czasu...

A.W.: *A w Rzadkowicach nie było kościoła? Nie było parafii?*

J.W.: Była w Mościskach. To było dwa kilometry chyba. No. To tam było dwa kościoły. Była parafia³² i był klasztor ojców redemptorystów³³. Ruscy ich później z tego, jednej nocy za... I tam było, mmm, kleryków tam... Seminarium było przy tym klasztorze. Tam było chyba osiem księży. I jednej nocy wywieźli, zabrali i wszystkich wywieźli na Sybir, a ten kościół zabrali. To znaczy tam powynosili. Wszystko pozabierali co tego i z tego seminarium. I wszystko co te księża mieli. Ubrania, mieszkania, to wszystko to Ruskie zabrali i tam zrobili szpital [...]. A parafialny kościół zostawili. Tylko z klasztoru wywieźli wszystkich księży. Bo na tym parafialnym to było takich dwóch starszków księży. I to zostawili ludziom, a tam, no tam, szczerze mówiąc, to było bogactwo w tym klasztorze. No to oni, no, księży na Sybir, a co mądrych ludzi to wszystkich wysprzątałi, żeby nie przeszkadzały Ruskim. Wszystko to, co było, pamiętam, to powywozili na Sybir. Policja, nauczycieli, adwokaty, lekarze. To wszystko to wywieźli na Sybir. Do więźniów. Samych takich o zostawili, żeby im nie przeszkadzali.

A.W.: *Wspomniała Pani o tym, że chodziła pani kupować cukierki do sklepu do Żyda. Czy wielu Żydów mieszkało wtedy w Rzadkowicach?*

J.W.: Tak. W mieście było bardzo dużo, w Mościskach było Żydów³⁴. Żydy obsiedli prawie tam wszystko. Sklepy były żydowskie, lekarze byli Żydzi. Pamiętam młyn był, to też był Żyd. Miał młyn. I ten i tego. I chodziliśmy do szkoły z Żydówkami też. No. Fajne były... Tylko Żydy to były Żydy. Zawsze interes. No. Taka Żydówka siedziała na ulicy i miała taką gablótkę, a w garnku miała, taki jarzył się węgiel, bo jak było zimno

³² Kościół parafialny p.w. św. Jana Chrzciciela.

³³ W Mościskach znajdował się także klasztor. Pierwotnie dominikanów, którzy przebywali w mieście aż do 1788 roku, kiedy to nastąpiła kasacja klasztoru z rozkazu cesarza Józefa II. W 1881 roku budynki klasztorne objęli redemptoryści. W 1948 roku klasztor i kościół zostały zamknięte przez władze sowieckie (J. Wałigóra, *Ikona przewieziona pod habitem*, [on-line:] <https://www.gosc.pl/doc/3291138>. *Ikona-przewieziona-pod-habitem* [dostęp: 12 XI 2018]; M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Przemysłu i okolicy*, Lwów 1917, s. 136).

³⁴ Przed wybuchem II wojny światowej Mościska zamieszkiwało ok. 6 tys. osób, z których blisko połowę stanowiła ludność żydowska.

i takie tam rogaliki sprzedawała, jakieś obwarzanki, jakieś, coś to te chłopaki takie, a mój brat też między innymi, tak dokuczali nieraz tym Żydom. Pamiętam raz wzięli tej Żydówce ten garnek z tym ogniem i się wysypał. Ona ten... Takie łobuzy były. Dokuczały, dokuczali Żydom te chłopaczyska. No ale... A tak wesoło było, wesoło. Biednie, ale było wesoło. Jakoś tak się wszyscy ludzie szanowali. Tak jeden drugiemu pomógł. Jeden drugiemu coś podzielił. Jeden drugiemu użyczył [...].

A.W.: Wspomniała Pani, że stryjek ożenił się z Ukrainką. Jak odnoszono się do tego w rodzinie?

J.W.: Było bardzo dobrze. Było normalnie. Nie było różnicy, że to on ma Ukrainkę, że to, że tam. A to... Kiedy i też to takie były czasy, że to bogaty syn to szukał bogatej żony, żeby dostała dużą odprawę, a stryjkowa też była jedynaczka. Miała dużą gospodarkę. Bogaci byli, bogaci byli. I sama jedna była. I może dlatego... Ładna była dziewczyna ta stryjenka. No i może dlatego poszedł do niej. To nie było kiedyś różnicy, że ta Ukrainka, a ta taka. Wszystko pasowało. Dopiero później, tak w wojnę, to wszystko się podzieliło. No. No to chodzili jedno do drugich. Wszystko. A później tak się to wszystko zmieniło. No ale co zrobić.

A.W.: Kiedy przyjechała Pani do Jugowa, to gdzie tutaj właściwie się spotykano, spędzano czas wolny?

J.W.: My w Jugowie to, szczerze mówiąc, to myśmy tylko w rodzinie, bo nas tu było dużo. To była: Marysia, Stasia, Janka. No później ja też miałam swoje mieszkanie, to tego. Wrocław zawsze przyjeżdżał. Zawsze, na każde święta z Wrocławia przyjeżdżali. To myśmy imieniny, to zawsze ja to moim dzieciom mówię i wnuczkom, mówię: „Dzieci. To myśmy wiedzieli, żeśmy tutaj żyli. Pracę my mieli, mieszkania żeśmy mieli i zdrowie, pieniądze, i tak”. Ja mówię: „Myśmy mieli balangi. Nie to co wy”. Myśmy się bawili... To krzciny, to imieniny, to wesele, to jakieś, i tak cały czas żeśmy się bawili. To dzisiaj u tego, jutro u tego, później u tego. Tutaj też nie brakowało nigdy. Tu koło nas to była taka świetlica, to były sobota potańcówki, niedziela zabawy. Chodziliśmy, bawiliśmy się. Ja nie powiem. Tutaj to dopiero użyłam życia tak na dobre. Po ludzku. Nie tak, żeby było pijaństwo, tylko myśmy się bawili w rodzinie. A tak też. Znajomych żeśmy [mieli] i mamy, i tego. Każdy nas szanuje, każdy nas zna. Ale to się już pokolenie zmieniło. Bo to już trzy pokolenia. Bo jak ja już mam osiemdziesiąt cztery lata, to już, już tych, co młodzi idą po ulicy, to nie wiem. Nieraz zdobędę się na to, że przeproszę, ja przepraszam panią czy pana, pan mi się kłania a ja nie wiem, kto pan jest. A ja jestem tak i tak, tak i tak, ja panią znam. Na pewno mnie znacie, bo chodziliście do szkoły, do sklepu, do tego. I tak o, porozmawiam sobie z każdym. I ten. I tak było. No i tak było. Nie to co teraz. Na wczasy żeśmy sobie jeździli co roku.

A.W.: Gdzie Państwo jeździli na wczasy? To już razem z mężem?

J.W.: Tak, tak. Z mężem, to z dzieckiem. Jedną córkę tylko miałam. Byliśmy w Łebie dwa razy. Byli my w Międzyzdrojach, byli w Sopocie, byli my w Świnoujściu, byliśmy w... Gdynia, Gdańsk... Bardzo dużo... Tam prawie we wszystkich miejscowościach nadmorskich. Bo co roku żeśmy jeździli. Z pracy dostawałam wczasy. Nawet prosili, żeby na wczasy pojechać. Gdzie to. Dzieci kolonie miały, szkoły za darmo, szpital, leczenie za darmo.

A.W.: *Jak Pani poznała swojego przyszłego męża? Skąd pochodził? Stąd czy stamtąd?*

J.W.: On pochodził stamtąd. Ja go jeszcze znałam stamtąd. Z drugiej wsi. I on był we... I tak to jakoś wyszło, że w rodzinie. On był synem brata mojej najstarszej siostry. Ona właśnie za niego wyszła. To był jego stryjek. Mojego męża stryjek. I on tu był w Polsce i on tu służył przy wojsku. Ja nigdy... Myśmy jeszcze tam się znali, ale ja nigdy nie myślałam o tym. I on właśnie mieszkał u jednej mojej siostry. Jak z wojska wrócił to tego. Nigdy nie myślałam, że ja kiedyś za niego za mąż wyjdę czy co. Po prostu cieszyłam się z tego, że do Polski jadę, że tu jakoś zacznę żyć inaczej, nie tak jak w tej Rosji. No ale tak jakoś wyszło, żeśmy zaraz się spotkali i wszystko. No i tak żeśmy ze sobą chodzili. W pięćdziesiątym piątym w czerwcu przyjechałam, a w pięćdziesiątym szóstym w październiku już żeśmy się pobrali.

A.W.: *On tutaj w Jugowie też mieszkał? Tutaj po wojnie też trafił?*

J.W.: Tak, tak. On właśnie w Krakowie służył przy wojsku i tutaj właśnie przyjechał i tutaj u stryjka mieszkał jednego. Ale nigdy mi siostry nie pisały, że tam Staszek to czy tamto. Nigdy. Nic. Dopiero jak ja przyjechała. Jeszcze one były przeciwne. Niech on kogo innego, niech znajdzie. Bo to powiedzą, że to my cię tutaj z nim ożenili. Ale... Myśmy się tam dogadali. Dobrze. Dobrego miałam męża. Dobrego. Też na wylew. Dostał zawał i wylew od razu i umarł. W osiemdziesiątym drugim roku. Dobry był.

A.W.: *A tutaj, kiedy przyjechała Pani do Jugowa, to mieszkali tylko Polacy czy jeszcze Niemcy?*

J.W.: Francuzów było dużo³⁵. Niemców też jeszcze było, ale bardzo mało było Niemców. A Francuzów się najechało. Jak to z repatriacji, czy za pracę, czy emigranci. Nie wiem jak to się nazywa. Bardzo dużo Francuzów. Jeszcze i są. Ale te młode rodziny. Bo ci starzy to wszystko poumierało. Bardzo mało jest. Jeszcze tam kobiet trochę jest tych Francuzów. Ale to wszystko. Ale dobre byli ludzie. Wszystko się zgadzało, wszystko. Już kultura inna. Już wszystko. Człowiek musiał zastanowić się, co powiedzieć do kogo, żeby jakiegoś głupstwa nie strzelić. Ale dobrze było. Fajnie było [...].

³⁵ Mianem „Francuzów” mieszkańcy Jugowa określali Polaków, którzy w okresie dwudziestolecia międzywojennego wyemigrowali z Polski do Francji, a po II wojnie światowej powrócili do kraju ojczystego i osiedlili się w Jugowie.

A.W.: *Gdzie pracowali mieszkańcy Jugowa?*

J.W.: W Tekstylu³⁶. Były dwie fabryki tekstylne tutaj. Dwie czy trzy i kopalnia³⁷. I później tam jakieś zakłady krawieckie. Handel i to wszystko. Każdy miał pracę i każdy... Zakłady papiernicze były, kartoniarskie. I każdy miał pracę, każdy miał jakoś...

A.W.: *A to zakłady były tutaj czy w Nowej Rudzie, Ludwikowicach?*

J.W.: Tak, tak, w Ludwikowicach były. Tam jakaś tkalnia była. A ta papiernia w Nowej Rudzie³⁸ i w Słupcu³⁹. W Wałbrzychu kopalnie. No na około i wszystko [...].

A.W.: *Wspomniała Pani, że mieszkało jeszcze kilka rodzin niemieckich tutaj. Co się z nimi stało?*

J.W.: Niektórzy wyjechali, ale już poumierali. Tacy starsi. Młodych tu nie było Niemców. Taki starszy jeszcze siedzieli na tych swoich domach. Bo powyjeżdżali. Nie wiem, czy musieli powyjeżdżać z tych terenów. No bo jak Polska zajęła, to musieli chyba powyjeżdżać. No. A już teraz nie ma ani jednego. Wszystko poumierało. I tu był też taki duży niemiecki cmentarz, to już tam zajęli Polacy na tym miejscu. To już tylko jeszcze to miejsce koło kościoła jest [...].

A.W.: *Co po przyjeździe do Jugowa sprawiało największe problemy?*

J.W.: Nie miałam żadnych problemów. Bo wszystkim się zajęła rodzina. Ta siostra, brat, to oni się tym wszystkim zajęli. Także przyjechaliśmy jak do swojego domu. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Bo jak człowiek zobaczył to wszystko. Ten dom, to wszystko takie eleganckie. W kościele, na ulicy, sąsiadów. To ze wszystkiego się cieszył, że to tak ładnie wygląda, że w sklepach pełno jest. No i że pracę się zaraz dostało. To oni nam wszystko pozałatwiali. To myśmy żadnych problemów nie mieli.

A. W: *A z Rzadkowic tutaj jeszcze jakaś rodzina przyjechała czy tylko Państwo?*

J.W.: Jest, jest. Są Markowicze, Zemlaki, Mazury, Barnusie, Kocury, Kocurów cała rodzina, moich teści, Łaby. Dużo jest. Ale już dużo powymierało. A oni przyjechali dopiero jak była repatriacja w pięćdziesiątym ósmym roku wtedy. To oni wszyscy tutaj pojeżdżali. To jeszcze dzieci. Już wszystko powymierało. Kończymy się [...].

³⁶ Zakład krawiecki.

³⁷ W Ludwikowicach Kłodzkich (niem. *Ludwigsdorf*) istniała kopalnia węgla kamiennego „Waław” (niem. *Wenceslaus Grube*).

³⁸ Nowa Ruda (niem. *Nurode*) – miasto w Polsce w powiecie kłodzkim w województwie dolnośląskim. Do 1945 roku w granicach III Rzeszy.

³⁹ Słupiec (niem. *Schlegel*) – od 1973 roku część Nowej Rudy, w latach 1967-1973 samodzielne miasto, a wcześniej rozległa wieś łańcuchowa. Przed 1945 rokiem w granicach III Rzeszy.

A.W.: *Czy była jakaś komunikacja z Nową Rudą czy z innymi miejscowościami?*

J.W.: Tak. Autobusy. Ciężko było, bo takie małe jeździły. Jak stonki, nazywali. Też to też po znajomości te kierowcy brali. Bo to pełno ludzi, a każdy chciał jechać, a to nie szło zabrać. A tak było, jak było. A na nogach się chodziło. A tak było, jak było [...]. No to w siedemdziesiątym drugim roku, pamiętam, myśmy kupili samochód. To doktor miał Brzozowski samochód i myśmy kupili samochód [...].

A.W.: *A czy tutaj w Jugowie było może jakieś kino?*

J.W.: Było. Było tam w górze, jak jest opieki społecznej dom, to tam wyżej. Tak było. Jeszcze pamiętam, jeszcze chodziliśmy tam do kina. Było. Było pełno rozrywek. I w Nowej Rudzie było.

A.W.: *Gdzie się wtedy właśnie chodziło, żeby się spotkać tak towarzystwo, rozerwać?*

J.W.: Było gdzie. Tu na zabawy się chodziło. Na tego tam się umawiali tamtego, dwie, trzy rodziny czy jakieś. Było wesoło. Boże, jak tu fajnie było [...].

A.W.: *Czy w Jugowie była w latach pięćdziesiątych biblioteka?*

J.W.: Nie pamiętam, żeby tu jakaś biblioteka była. Dopiero później. I jest po dzień dzisiejszy. A druga jest w szkole. No. Korzystałam. Tyż chodziłam sobie, pożyczałam książki. Ale niewiele miałam czasu. Lubiłam czytać. Lubiłam bardzo czytać książki. Ja pamiętam jeszcze, tak jak mieszkalam na wschodzie, to chyba, to chyba było jak Ruski wkroczyli w te nasze tereny, to tam był na drugiej wsi, na trzeciej w Kresowicach, był dwór. Hrabia tam mieszkał⁴⁰. I tam Ruscy wkroczyli. To też taka banda była. I tam całą bibliotekę, wszystko palili. Bo to kukule⁴¹, bo to bogacze, bo to tego, to trzeba ich zniszczyć. Zamiast to zrobić gdzieś, ludziom dać. A to też taka ciemnota była. No to wywalali wszystko na ten plac. I to palili. To.

A.W.: *Pamięta Pani jak tam wkroczyli Rosjanie do Rzadkowic?*

J.W.: No to... My dzieci, myśmy polecili tam. Nic nam nie mówili. To żeśmy sobie ponabierali książek rozmaitych, co się tam paliło z tego ognia... To nic nam nie mówili. Tośmy sobie ponanosili tych książek. Śliczne. Też pamiętam „Trędowatę”⁴² czytałam, i później takie inne jeszcze. Tę „Trędowatę” to tak pamiętam, z takim zachwytem ją czytałam. I później jeszcze taka była... Dużo i dużo my... Tam z sąsiadami, z sąsiadem i dziećmi to my nanieśli książek. Już tam czytałam książki. Bardzo

⁴⁰ Wieś Krysowice w przedwojennym powiecie mościskim. Znajdował się w niej pałac należący do rodziny Stadnickich. Jego ostatnim właścicielem był Stanisław Adam Stadnicki (1878-1952).

⁴¹ Kukul – prawdopodobnie forma gwarowa od *кyркyль* – ukr. kułak.

⁴² *Trędowata* – popularna powieść autorstwa Heleny Mniszkówny, wydana po raz pierwszy w Krakowie w 1909 roku.

lubiłam czytać. Jak do szkoły chodziłam, to przyszłam ze szkoły i mama mnie się nie pytała, czy ja... A jeszcze mieliśmy wtedy gospodarkę, krowy, to wszystko. To mama mnie się nie pytała, co tam w szkole było. Co tam pani zadała na lekcji. Nie. Tylko jeść i z krowami w pole. No to ja książki pod pachę, zeszyt i tam co, i tam przy tych krowach uczyłam się. I czytałam, i to wszystko. Bardzo dobrze żeśmy się... Nas lubili. Nauczycielki nas chwaliły w szkole zawsze. A rodzice nie pytali się. A jak nie, to w pole tam plewić, tam robić, no do żniwa, to, to. A później kołchoz zabrał wszystko i wtedy był spokój.

A.W.: A jak wyglądało życie w kołchozie?

J.W.: A w kołchozie no trza było robić cały dzień. Takie my młode dzieci były. I na kombajn my młócić, i musieliśmy cały dzień i przy żniwach, i przy wszystkim musieliśmy robić, kartofli kopać. Przy burakach każda jedna dostała pół hektara buraków cukrowych posadzić i rękami i to później obrobić, i dlatego. I nie było czasu, żeby się można było objać. Nie. I to wszystko było za darmo. A człowiek głodny był. A jeść nie było co. A robić musiał. Użyłam w swoim życiu. O, ja w swoim życiu użyłam. No ale teraz mogę tylko powspominać. Moje dzieci nawet jak ja nieraz im to mówiłam, to nawet nie chcą wierzyć, że to tak mogło być. No tak było. Taki ludzie ludziom los stworzyli.

A.W.: Jak odnosili się mieszkający tam już po wojnie Ukraińcy do Polaków?

J.W.: Już nie. Już taka wrogość została.

A.W.: Ta wrogość już została?

J.W.: Ta wrogość już została, już i w tych młodych wpoili tą taką różnicę. Tą taką nienawiść. I już nie. Już później się nie żenili ani nic. Już nie. To już było tak jak... Ci sobie, a ci sobie. Już ludzie mieli urazę do nich.

A.W.: A czy kiedy była pani dzieckiem, jeszcze przed wojną, rodzice gdzieś wyjeżdżali, gdzieś dalej?

J.W.: Nie. Nic. Poza Mościska nigdzie. Skąd. Tylko do rodziny. Mama miała też dużą rodzinę. Tato nie miał. A mama... To tylko do rodziny się chodziło, spotykało się. A nic poza tym. A gdzie tam. Moja mama chyba nawet nie widziała Lwowa. Oprócz Mościsk moja mama nie widziała nic. Tato to tam wiedział, bo na wojnie był, to tam w Austrii był. W austriackim wojsku chyba służył. Już nie pamiętam jakim.

A.W.: Opowiadał tato, jak był na wojnie, jak był żołnierzem?

J.W.: Opowiadał tato, ale już teraz nic nie powiem. To dlatego teraz tak do nas się schodzili sąsiedzi, te chłopcy takie ze wsi i to. No to do Benedykta. Zawsze tato im

opowiadał, jak co było. Zawsze nas było dużo, się spotykało. Wieczorami w zimie. A wieczorami w zimie to żeśmy książki czytali na głos. Tato robił w warsztacie do lampy. Naftowej lampy. A myśmy mieli drugą lampę, w drugim mieszkaniu. Pamiętam, jedenasty numer tośmy mieli na całą wieś jedną taką... Bo każdy tylko taką pipką świecił, aby tylko jeden na drugiego nie wlaźł. No bo nie ma na naftę. No bo trzeba to. A myśmy mieli jedenasty numer lampę, no to żeśmy siadali wszyscy naokoło stołu, to jeden czytał te książki.

A.W.: A pamięta Pani, co czytano? Jakie książki czytano wtedy?

J.W.: Już zapomniałam. Ale takie właśnie, jak z biblioteki, jak z tego, jak pożyczane. Pożyczał jeden od drugiego, bo to nie szło się do sklepu kupić. Bo to nie było za co. Ale czytaliśmy, czytaliśmy. Śpiewaliśmy, kolędowaliśmy sobie tak wieczorami, jak już przeszedł adwent to kolędy żeśmy. To jakieś ozdoby żeśmy kleili na choinkę, to. Zawsze... Myśmy byli, tak mnie się zdaje, takimi dobrymi dziećmi. Żeśmy nie przeszkadzali nikomu. Żeśmy nie przeszkadzali nikomu. Zawsześmy sobie takie jakieś praktyczne znaleźli zajęcie, żeby coś z tego było, żeby jakoś, żeby jakoś to tak było. Żeby nie chuliganic, żeby nikomu szkody, krzywdy nie robić. Nic. Żeby tam co komu ukraść. Nie. Tego nie było. Ale to to wszystko mieliśmy po tacie. Bo mama nasza była taka... No dobry był człowiek. Ona miała z nami dużo roboty, bo osiem dzieci, co dwa lata dziecko, co dwa lata dziecko, to ja już dziękuję. To tego. A tak to po tacie żeśmy to wszystko mieli. Dobre wychowanie. Takie troszkę kultury. Teraz se zdaje sprawę, że to wszystko tato był taki. I tato był mocno dobry. Modliliśmy się co dzień wieczorem na kolanach, częstkę różańca żeśmy zawsze odmawiali. I dobrze nas rodzice wychowali. Nie powiem, żeby coś tego. Żeby coś było złe.

A.W.: A któryś z nauczycieli został Pani szczególnie w pamięci?

J.W.: No ja nie wiem. Dla mnie wszyscy byli nauczyciele. Ale najlepsza była taka pani, Szczurek się nazywała, i pani Munc. Muncowa. Jego później Rosjanie zabrali, tego jej męża, na Sybir czy do więzienia. Nie wiem, gdzie. Ale ja dobre zawsze miałam ze wszystkimi takie koligacje. Z nauczycielami, z tym wszystkim. Nie wiem. Lubili mnie też nauczyciele. Zawsze. Trza było jakieś, z książki nam opowiadanie zadali nauczyć się. No to zawsze byłam poproszona. Ziobrowna opowie z tej i tej książki treść i to. No to ja wstałam, opowiedziałam prawie tak, jak w książce pisało. Lubiałam to. Lubiałam takie opowiadania. I nauczyciele też nas lubili. Tata przeważnie chodził na wywiadówkę, no to przychodził ze szkoły, no to zawsze nas pochwalili. Na brata zawsze tam mieli, bo on taki był, że łobuz był. No ale tak, to takie były czasy. Fajnie było, dobrze było.

A.W.: Jak wyglądała nauka podczas wojny? Chodziło się do szkoły?

J.W.: No trochę czasem się chodziło, czasem nie. Znaczy jak już zajęli wojsko szkoły, no to nie było. Później gdzieś tam chyba nauczyciele zorganizowali to w jakiejś

kamienicy żydowskiej. Z czasem się nie chodziło z miesiąc, z dwa do szkoły. Później się chodziło. A tak różnie było. Jak było, tak się chodziło, i tak się te szkołę kończyło. No.

A.W.: Wspominała Pani, że chłopci pilnowali podczas wojny przed Ukraińcami.

J.W.: No wartowali po nocach. No. Najgorzej się tego bałam, strasznie się bałam. Bo oni zarzynali żywcem ludzi. Męczyli. Tak męczyli. Obcinali im języki, ręce łamali, rznęli. Żywcem to tak robili. Co to za ludzie byli? I oni tam się mścili na tych Polakach. Ale za co? Co je te Polaki byli [...].

A.W.: A czy w Rzadkowicach mieszkali Żydzi? W Mościskach mieszkali jacyś.

J.W.: Tak, mieszkali. Pamiętam. Było chyba siedem rodzin. I też żeśmy się z tymi Żydówkami kolegowały, do szkoły żeśmy chodzili, bo to do jednej szkoły chodzili i Żydzi, i Ukraińcy, i wszyscy. I pamiętam, jak Niemcy przyjechali, to było tak po południu, i wszystkich Żydów zabrali. W Mościskach było getto takie⁴³. To był dom, taki był dom... Zapomniałam jaki. Taki jakiś publiczny dom, że tam się schodzili tam tego. I tam zrobili to getto. To było ogrodzone. To był taki duży budynek, chyba trzy-piętrowy. To tam wszystkich tych Żydów z miasta i z okolicznych wiosek, wszystkich tam pozwozili. Pamiętam, jak ich powsadzali na takie furmanki, i nic tylko to, co na nich było. To ich wieźli do tego miasta. A później, później takie furmanki powynajmowali od chłopów i wszystko co te Żydy mieli, jakie majątki w domu, nawet ubrania, to wszystko zabierali i sobie gdzieś tam zabierali.

A.W.: A to kto zabierał?

J.W.: Niemcy. Wojsko było. To było wojsko i oni, a chłopci ze wsi musieli to wszystko wozić, tam zbierać i... No pamiętam, jak oni tam siedzieli. Nic nie wiem, co oni tam... Tam nie wolno się było zbliżać. A my... Poza tym było takie... No droga była do szkoły. To jak my szli, to nawet nie wolno tam było patrzeć. Tak to płakali te dzieci. To tak bosko chodzili po... To było. Jakoś tak była jesień taka. To wszystko chciało jeść. Nawet załatwiać się nie mieli gdzie. To tak się załatwiali tam, gdzie chodzili po tym. I musieli to potem rękami nosić tam do takiego dołu takiego. Strasznie tych Żydów męczyli. Nie, to to wszystko to jeden koszmar był [...].

A.W.: A czy z Rzadkowic wszyscy wyjechali do Polski?

J.W.: Nie, nie, nie. Dużo zostało. Dużo. Bardzo mało zostało.

A.W.: Ale zostali tam na miejscu czy ich wywieźli Rosjanie?

⁴³ Getto w Mościskach zostało utworzone w 1942 roku.

J.W.: Zostali tam na miejscu. Ja nawet później za dwa lata pojechałam tam.

A.W.: *Wtedy, w latach pięćdziesiątych, jak już Pani mieszkała tutaj w Jugowie?*

J.W.: Tak. Jeszcze, jeszcze miałam dwa lata paszport ważny i mogłam tam pojechać. I tego. A tam wszystkiego było brak. Tam nic nie było. Znaczący, czy z ubrania. Najgorzej było ubrania, buty, tego. Tam nic w Rosji nie było tego. No to ja nakupiłam wszystkiego i tam pojechałam. To jeszcze, to wielkie pieniądze zrobiłam. Bo tam sprzedałam to wszystko, co tu pokupiłam, co tam było potrzebne, a tego. A jeszcze na granicy, to w Przemyślu miałam kuzyna. On był na granicy pracował, był pogranicznikiem czy czym. W każdym razie także ja wszystko to przywiozłam. Bo tam też nie można było wszystkiego wieźć, ale on w tym czasie był na kontroli na granicy, bo tam się umówił, że tego, że ja będę jechać. No to on był wtedy. Kontrolował. To ja wszystko przywiozłam. To ja stamtąd, to ja stamtąd przywiozłam złota, futer, cztery futra przywiozłam, złota przywiozłam dużo. Bo później był, jak ja przyjechałam, przy odbiorze tutaj i ten. To ja zrobiłam od razu majątek. Także... To trochę miałam od sióstr, też im tam posprzedałam parę rzeczy. Ale od razu się odkułam.

A.W.: *Było łatwiej.*

J.W.: No. Dobrze. Wszystko dobrze wspominam. Tylko tam. Ten kołchoz i tych Ukraińców nie zapomnę nigdy. Nigdy. I nienawidzę ich.

A.W.: *Za to co zrobili wtedy?*

J.W.: No. To było straszne. To nie... To nie da się opowiedzieć. No, co więcej? Już więcej nic nie wiem. Powiem tak: „Więcej grzechów nie pamiętam” [...].

A.W.: *Czy w Jugowie były miejsca, w których szczególnie chętnie spotykała się młodzież?*

J.W.: Tutaj zaraz była taka sala wiejska [...]. W sobotę była zabawa, w niedzielę były potańcówki. I tak było po wszystkich miejscowościach. Tak, że można było, gdzie się chciało. Po wszystkich tych miejscowościach. I Nowa Ruda, i do Sokolca. Także gdzie kto chciał, szedł. Bawili się, popili, bili się.

A.W.: *Zdarzały się bójkі na zabawach?*

J.W.: No też. Bili się. Ale było wesoło, było wesoło. Było fajnie. Jest co wspominać. Każdy szedł zadowolony. W poniedziałek do pracy, poopowiadało się, jak było, tego, jak się bawiło, gdzie się pójdzie na przyszłą sobotę, gdzie to. A teraz nic nie ma [...].

A.W.: *Czy jakaś część rodziny pozostała tam na Ukrainie, tam, koło Mościsk?*

J.W.: Moja tak. Zostało jeszcze. Jeszcze jedna kuzynka ze swoimi dziećmi. No i więcej nikt. Bo wszystko więcej poprzyjeżdżało tutaj. Już poumierali. Są i w Gliwicach, w Przemysłu, w Tychach. No a tylko jedna kuzynka jeszcze została. Też już tylko sama została z dziećmi. No. Zresztą nawet już nie pisze nawet ani nic.

A.W.: *Czy zdarzyło się, że ona tutaj przyjechała w odwiedzinie?*

J.W.: Przyjeżdżała, przyjeżdżała. No tak, odwiedziny odwiedzinami. No, ale jak ona przyjechała tutaj. To taka jechała obładowana do domu. Bośmy jej nadawali wszystkiego. I ubrania, i butów, i rozmaitych rzeczy, i pieniędzy. Bo wiedziałam, jaka tam... Jaki tam każdy rządny jest każdego kawałeczka wszystkiego. Nie. No to tego. To ona przyjeżdżała. Nie tyle w odwiedzinie. Tyle, żeby tego. No to swoją rodzinę i wszystkich obdarowała tym wszystkim. A później już też jest nie młoda. Bo już chyba też jest po osiemdziesiątce. Nawet nie wiem, czy żyje, czy nie żyje. Nawet w tym roku to pisałam do niej, ale tam, nie wiem. Może nie doręczają listów. Może tego. Bo tak było, że listonosz przeczytał list i jak chciał, to doręczył, jak... Bo to też tam ci Ukraińcy rządzą teraz i...

A.W.: *Gdyby ktoś Panią zapytał, gdzie Pani czuła, że jest jej dom – czy tutaj, czy tam, w Mościskach, koło Mościsk?*

J.W.: No tam już nie mam nic.

A.W.: *Nic już tam się nie zachowało?*

J.W.: Jak... Nie. Nic. Jak moja siostra [...] przyjeżdżała w pięćdziesiątym ósmym na repatriację, no to tego. To oni sprzedali ten dom. A później ten ktoś, nie wiem, ktoś tam się zbudował czy coś. Ten dom rozwalił. Nie wiem, jak to było. Był ładny dom pobudowany. Taki murowany pod dachówką i tego. To to był tak naprawdę porządny dom jak na te czasy. No a czego oni to tam później. Nic tylko plac został. Nic mi tam. Ja bym tam za nic nie pojechała. Ja się bałam tam jechać, jak ten paszport tam miałam ważny, to się bałam tam jechać. Przyjechałam do tej kuzynki, co tu przyjechała, i ja mówię: „Janka ja się boję, żeby mnie tu nie przyszli zarżnąć Ukraińcy”.

A.W.: *Czyli był taki strach, pomimo tego, że już upłynęło...*

J.W.: Miałam. No co, by przyszli. No i co. No i by wtargnęliby się do mieszkania, wywalili drzwi czy co. No i co bym im zrobiła. No nie. No. Bałam się. Ale jakoś tam przeżyłam ten tydzień czy więcej. Posprzedalam wszystko, pokupiłam i uciekałam stamtąd.

A.W.: *Tutaj. Do domu?*

J.W.: Tak. Bałam się tam. No i tak. I dożyło się tyle lat. Teraz już... Teraz tylko żyje moimi dziećmi. Cieszę się nimi. Ale tak zawsze myślę o nich. Jak było, tak było, ale jak tu przyjechałam do Polski, to dobrze mi było i dobrze mi się żyło [...].

A.W.: *Czyli to był taki szczęśliwy czas tutaj?*

J.W.: Tak, tak. Naprawdę [...].

A.W.: *Przez cały czas pracowała Pani tutaj, w Jugowie, czy także gdzieś indziej?*

J.W.: Pracowałam na Nowej Rudzie z początku. Dostałam takiego dobrego kierownika. Pan Zięba. Pan Zięba był i dej mu Boże niebo. I ja nie umiałam tak jak tutaj w Polsce czy to czy tamto, wysłowić się dobrze. Ale on mnie wszystko tolerował, wszystkiego nauczył, on nigdy na mnie nie krzyknął, on nigdy mnie nic nie powiedział.

A.W.: *Jak odnosili się do Państwa inni mieszkańcy Jugowa? Właśnie od takiej strony językowej.*

J.W.: Ale myśmy rozmawiali po polsku. Myśmy mówili po polsku.

A.W.: *Nie było problemów z dogadaniem się.*

J.W.: Nie, nie było, i po trzech miesiącach, i po trzech miesiącach to ten mój kierownik zrobił ze mnie kierowniczkę. Po trzech miesiącach. Ja się bałam. Bo się bałam. Jeszcze się nie obznajomiłam ze wszystkim. Z przyjęciem towaru, z tym, z pieniędzmi, z pocztą, to jednak przejść z takiego niczego i od razu do handlu i tak normalnie pracować. Ale dałam sobie radę. Dałam. Interesowało mnie to. Lubiłam to. Bardzo lubiłam handel i się wciągnęłam, i dobrze mi było. Miałam bardzo dobrze. Byłam też szanowana u nas w pracy. Zawsze dostawałam nagrody jak był dzień handlowca, czy tam pierwszego maja czy jakieś coś, to zawsze dostawałam nagrodę. Dwudziestopięciolecie to dostawałam. I nie powiem, to miałam dobrze. I dopracowałam sobie. Trzydzieści ileś lat pracowałam. Trzydzieści trzy lata pracowałam.

A.W.: *Szmat czasu.*

J.W.: No. No, ale tak się zdaje, jakby to dopiero było. Jak się przyjmowałam do pracy i tutaj w Jugowie byłam u jednej pani z siostrą. Ona miała sklep taki tekstylny, koło kościoła, gdzie jest teraz spożywczy. Tak, i pani Smerczyńska się nazywała. I ona mówi jeszcze, ona już siedemnaście lat pracuje. A ja tak mówię, Boże, siedemnaście lat, gdzie ja tak tyle wypracuję siedemnaście lat. A ja tak wypracowałam trzydzieści trzy i tak to zleciało jak nie wiem co. Właśnie. To ja tak mówię od siebie, bo jak się idzie do pracy, że się musi iść i że się musi to pracować, to jest ciężar, to jest męczarnia,

ale jak człowiek idzie do pracy, że lubi swoją pracę, to on ją będzie dobrze wykonywał i będzie miał satysfakcję i będzie się cieszył. Ja to tak mówię od siebie. I swoim dzieciom to mówię. Bo jak idzie ktoś do pracy jak wół do rzeźni, to to nie będzie ani pracy, ani pracownika z niego. Nie. Pracę swoją trzeba lubić i szanować, to wtedy się będzie miało satysfakcję z tego. No ja przynajmniej tak miałam. I zawsze dobrze wspominam. Dawałam sobie zawsze ze wszystkim radę. Byłam poważana w naszej dyrekcji. Wszyscy mnie szanowali za to, że ja dobrze robiłam, że byłam sumienna, że byłam pracowita, że no, nie mieli ze mną żadnych problemów. No nie miałam manka, ani nie miałam nic. Wszystko dobrze prowadziłam.

A.W.: Czy w Jugowie lub okolicach w latach pięćdziesiątych stacjonowało jakieś wojsko, byli jacyś wojskowi, jacyś żołnierze tutaj się pojawiali?

J.W.: Była. W Ludwikowicach, jak tu idzie się z Jugowa, przez Jabłońską⁴⁴ na Ludwikowice, tam była jednostka wojskowa. Tak.

A.W.: I często byli oni tutaj w mieście, żołnierze pojawiali się na przykład na jakichś zabawach czy potańcówkach?

J.W.: Nie, chyba nie. Ja nie wiem. Tego ja już nie pamiętam. Chyba chodzili, bo pamiętam, jak szli na stację. Tu na Zdrojowisku⁴⁵ stacja była i tam przy stacji był... Co tam? Aha, tam był internat. Tam był internat i tam były dziewczyny. W Jugowie też był internat, bo takie pojeżdżały się dziewczyny z centralnej Polski i właśnie w tych fabrykach tekstylnych pracowały.

A.W.: Pracowały tutaj.

J.W.: I tego. I tam... Bo ktoś mnie opowiadał, ja już nie pamiętam, że jakiegoś żołnierza tam rozebrali, w tym internacie go złapali. Zabrali mu broń i tego. To z tej jednostki z Ludwikowic na tej Fabrycznej chodzili do tych dziewczyn do internatu. Ale ja to tam nigdy nie byłam. Nigdy.

A.W.: Jak to młodzi.

J.W.: No. A było różnie.

A.W.: A takie zabawne zdarzenia pamięta pani, które tutaj miały miejsce? Coś, co wywołuje pani uśmiech, jak sobie pani przypomni?

⁴⁴ Jabłońska – nazwa ulicy prowadzącej z Jugowa w kierunku Ludwikowic Kłodzkich.

⁴⁵ Zdrojowisko (niem. *Centnerbrunn*) – część wsi Jugów, w której przed II wojną światową znajdowało się uzdrowisko.

J.W.: No bawiło się tam. Kto się bił, to się bił. Mój mąż to się nigdy nie bił. Zawsze kulturalnie ześmy się pobawili i poszli do domu. Bo on... Jak był kierowcą, chyba we wojsku się nauczył na kierowcę, i był kierowcą jakiegoś pułkownika. Tak, więc on też się obracał w takim kulturalnym towarzystwie zawsze [...]. Nie był taki chłopek roztropek, tylko był taki do rzeczy. No a później, jak my się pobrali, to on w Tekstylu był kierowcą. Woził z tych internatów do pracy, to jak górników dowozili, tak Tekstyl dowoził swoich pracowników do pracy. To on tu. A później dostał się do tego, do prezydium. I w prezydium jeździł z tymi, z przewodniczącym, z tymi sekretarzami, z tym wszystkim. Też tak się uwijał w takim lepszym towarzystwie. Też go lubili, bo on nigdy nic nie powiedział, co się tam dzieje, co rozmawiają, bo jak jeździli z nim do Wrocławia, tego tamto, to rozmawiali o czymś. No to on wszystko słyszał, wszystko wiedział. Ale on nigdy nic nikomu nie powiedział. I oni go za to lubili. I całe do końca, do końca życia tam pracował.

A.W.: Ślub Państwa odbył się tutaj, w *Jugowie*?

J.W.: W *Jugowie*. Tutaj, w tym kościele. No. Dwudziestego pierwszego października, pięćdziesiąty szósty rok. A w pięćdziesiątym ósmym dziecko urodziłam. Jedną córkę miałam. I nie miałam więcej później dzieci [...].

A.W.: *Pamięta Pani swoją suknię ślubną?*

J.W.: Pamiętam. Siostra mi, Stasia, najstarsza, szyła. No. To nie było... A tego... To nie było tak jak... Jeszcze też takie były braki w Polsce. Trza było sobie. Nie było wypożyczalni, nie było nic. To nie miałam welonu. Tylko miałam takie tutaj, wstążeczki, kwiatek. A tego. I wesele miałam tam u siostry.

A.W.: *Dużo było gości?*

J.W.: No rodzina. Rodzina duża, to całej rodziny się nazbierało. Ale było fajne wesele. Brat, szwagier tej siostry, co było właśnie wesele, on miał takie, zespół był, taka orkiestra była, i oni właśnie po tych zabawach grali. To on miał akordeon. Był. Pięć, pięć ich było. On miał akordeon, jeden miał skrzypce, jeden miał saksofon i jeden na bębnie. I oni tak zawsze grali. Po tych zabawach chodzili, gdzie tego. I tak sobie dorabiali. Pracował jeszcze te... No to taką miałam orkiestrę. Fajnie było. Dobrze [...].





Maria Kocur, urodzona 2 lipca 1928 roku w Rzadkowicach, koło Mościsk

Arkadiusz Więch [A.W.]: *Jakie pierwsze skojarzenie związane z dzieciństwem nasuwa się Pani na myśl? Jak ktoś zapytałby Panią o dzieciństwo to... Takie pierwsze wspomnienie. Coś takiego...*

Maria Kocur [M.K.]: Pierwszy dzień w szkole [...] No to pamiętałam te rzeczy całkiem dobrze.

A.W.: *Gdzie chodziła Pani do szkoły?*

M.K.: W Mościskach [...]. I to była szkoła królowej Jadwigi, to takie imię nosiła ta szkoła, no, ale później Ukraińcy jak tylko wojna w czterdziestym drugim roku się kończyła, to już Ukraińcy nas z tej szkoły wycofali. Musieliśmy tam później po innych budynkach się uczyć, a tam Ukraińcy zajęli tę szkołę.

A.W.: *A pamięta Pani, bo urodziła się Pani w Rzadkowicach?*

M.K.: Tak.

A.W.: *I tam był też dom rodzinny?*

M.K.: Tak.

A.W.: *Czym zajmowali się rodzice?*

M.K.: No ojciec to był szewc. Mistrz szewski. No takie małe gospodarstwo jeszcze mieli. No tak za dużo nie mieli. No ja wiem, jak panu określić... Czy morg... Nie wiem, jak te morgi nazywali teraz. Może tak gdzieś. Może hektar, może coś takiego [...]

A.W.: *Dobrze. Więć pamięta Pani pierwszy dzień w szkole. Jak było w tej szkole?*

M.K.: Bardzo dobrze.

A.W.: *Pamięta Pani kolegów, koleżanki?*

M.K.: Koleżanki. Tylko koleżanki były, bo myśmy, jak była szkoła żeńska i była szkoła męska, to chłopcy z nauczycielami tam mieli swoją szkołę. Nie w tej, co dziewczyny się uczyły, w całkiem innym miejscu. A myśmy dziewczynki tylko z dziewczynkami były razem. Bardzo przyjemnym było to wszystko, grono nauczycielskie. Wszystko wykształcone, grzeczne, miłe, ładne kobiety. No dla nas były wzorem [...]. Zawsze elegancko ubrane. A myśmy nie były takie, takie super. No zależy, jak kto był sytuowany z domu.

A.W.: *A pamięta Pani jakieś takie koleżanki swoje najlepsze z tamtego czasu?*

M.K.: Jeszcze jedną koleżankę, z którą jeszcze piszemy. Pamiętam dużo, ale z którą jeszcze piszę do dzisiaj [...]. Z jednego roku jesteśmy, bo w jednej klasie się uczyliśmy. Mieszka w Tychach. Julia Kozińska. Teraz po mężu ma takie nazwisko. To jeszcze z nią do tej pory. Ona już też jest teraz bardzo chora. Ja też ledwo łażę, ale ona podobno jeszcze gorzej.

A.W.: *Pamięta Pani jakieś takie ulubione zabawy z dzieciństwa? W te, które Pani lubiła się bawić?*

M.K.: Takie różne były. Teraz takich zabaw już nie mają. W ciuciubabkę myśmy się bawili. No w łapanego, w chowanego. No takie tam kiczki [...]. To był taki kij wysoki. Tam się kładło taki prostokątny patyczek nieduży, znaczy drewno nieduże, i które ktoś tam tym kijem podbijał ten tam [kijek] [...]. No i później to się tak liczyło, ile to metrów tam się odbiło. No to taka tam głupota była. Nieraz to i ktoś w nos dostał tym kijem. [...]. A poza tym jak przyszedł czas i człowiek mógł, to się krowę pasło. Tam gdzieś pomogło się mamie. W ogródku się czasem robiło. Bo też mama uczyła, że to trzeba, to trzeba zrobić. Wtedy w domu się tak nie próżnowało jak dzisiaj. Teraz próżnują. Zawsze było jakieś zajęcie.

A.W.: *A jakie były takie zajęcia w domu, w których Pani pomagała mamie?*

M.K.: A no to właśnie jak już człowiek nie przeszkadzał, to chociaż pomagał. To był zawsze tam w polu, czy na podwórku się robiło. To właśnie mówię, z tym byłem

się poszło gdzieś, z krówką. To nas dwoje nawet chodziło. To jak nas było ośmioro rodzeństwa, nawet dziesięć, bo dwie, bo siostra umarła w trzydziestym dziewiątym roku, dwa tygodnie, nie, chyba piętnastego sierpnia, to ona umarła chyba tydzień, dwa tygodnie przed wojną. Miała szesnaście lat. Jakoś tak szybko umarła. To, to nas było sporo. [...] I żyje nas do tej pory jeszcze, no sporo żyjemy, bo już dużo lat żyjemy, chyba osiem, sześć nas żyje. Bo jeden brat umarł i jedna siostra też już teraz umarła we Wrocławiu. Brat też we Wrocławiu umarł. No jeszcze brata mam jednego we Wrocławiu. No to ma teraz dziewięć... osiemdziesiąt, ja mam siódmy, on chyba dziewięć będzie miał. Osiemdziesiąt dziewięć. Jesteśmy długowieczni. Siostra ta, co tutaj obok, to ma dziewięćdziesiąt już trzy.

A.W.: *A czy w Radkowicach mieszkali tylko Polacy, czy też Ukraińcy mieszkali? (...)*

M.K.: Tylko Polacy i dwie rodziny chyba albo trzy były żydowskie.

A.W.: *Czym zajmowały się rodziny żydowskie?*

M.K.: Trudno mi powiedzieć, bo ja się tym nie interesowałam. Jeden wiem, że miał tak trochę duże gospodarstwo, tak w rolnictwie. Jeden to jakiś tam handelek uprawiał. Chyba ta następna rodzina to też tam miała to, troszkę gospodarstwo jakieś. Ale ten jeden to był komunista. Uuu. Tak się cieszył jak Ruski przyszli. „O, już się wam skończyło”, „Już się wam skończyło”. A dlaczego nam się miało skończyć? Bo widocznie mieli kontakty [...] z komuną.

A.W.: *A na co dzień czy dochodziło do jakichś takich nieprzyjemności, kłótni?*

M.K.: Nie. Tego nigdy nie. Może tam gdzieś w sąsiedztwie było. Ale my w domu mieliśmy tak w porządku wszystko. Każdego trzeba było szanować. Na nikogo się tam specjalnie nic nie plotkowało, jak to się mówi. Tego nie było u nas.

A.W.: *Czy pamięta Pani, o czym rozmawiali rodzice w domu? Czy były jakieś tematy, na które tak szczególnie zwracali uwagę?*

M.K.: No ojciec to opowiadał, jak był na wojnie, tej pierwszej wojnie. To jeszcze czasem wspominał te sprawy. [...] No on był w kawalerii. No to miał tam swoje... Trudno mi panu to opowiadać. No, ale dużo wspomnień miał. To był często... I przede wszystkim lubił politykę, lubił. Gazety jakieś zawsze sobie kupił. To jeszcze nieraz sąsiedzi przychodzili: „Panie Ziober, niech pan coś powie nam, co nowego, co nowego w gazetach?”. Nie? No i tam czasem te gazety katolickie też się kupowało. No też takie wiadomości różne. No to przecież ja nie będę panu mówić. Takie wiadomości. No z kościoła były różne, zawsze raczej budujące, to nie było tak, o takim... To, co się teraz słyszy, to... Jest nie do pomyślenia za naszego życia. Bo życie uczciwe, szlachetne, czyste, że tak powiem. Naprawdę. Tak było. [...]

A.W.: Pamięta Pani święta w domu?

M.K.: No święta były wszędzie jednakowe. Bardzo piękne było zawsze. Czekają się na te święta Bożego Narodzenia. Choinka, szopka, później kolędnicy. Po kolędzie się chodziło też. Już chyba w trzeciej klasie, to już chodziłam też chyba po kolędzie z bratem i z takim kolegą brata, bo dobrze śpiewałam. No to mnie zawsze brali do siebie. [...] Były też i takie jasełka. Ale ja nie brałam w tym udziału. Za mała przecież byłam. Ja miałam jedenaście lat, jak się wojna zaczęła, no to co tam. To człowiek jeszcze taki smarkaty był.

A.W.: Pamięta Pani wojnę, początek wojny?

M.K.: Pamiętam. Miałam iść do szkoły. Akurat siedzieliśmy na ogrodzie z ojcem. Nie wiem, dlaczego, ale tak byliśmy na ogrodzie. Pamiętam, taka piękna była pogoda. No i naraz taki zrobił się... Samoloty zaczęły, wybuchy. I później za chwilę krzyk: „wojna, wojna”. A ja miałam iść do szkoły i już się przerwało, przerwało się wszystko. I już nie poszłam do szkoły, no i później ten cały... Tam każdy... A jeszcze ze dwa tygodnie wcześniej to chyba tych wszystkich mężczyzn to zabierali z sąsiedniej wsi. To była wieś Strzelczyska. Przeważnie przez naszą wioskę przejeżdżali. To była mobilizacja mężczyzn wtenczas na wojnę. [...] To była duża wieś. Nasza była malutka, a tamta ponad 300 budynków było. Człowiek był taki przerażony tym wszystkim, że wojna idzie. Ojciec nie poszedł już na wojnę, bo miał pięćdziesiąt pięć lat, to już nie został zmobilizowany. No to tyle, że mieliśmy jeszcze ojca w domu. Ale później brat jak już dorósł, był starszy o dwa lata ode mnie, to już poszedł. Prawie osiemnaście lat miał w czterdziestym czwartym roku, to już go, nie, w czterdziestym trzecim, jak już Rosjanie gnali później tych Niemców do Niemiec, to wtenczas zmobilizowali naszych chłopaków. [...] Szybko uczyli ich tam do Rzeszowa, ich tam zebrali z naszej miejscowości, bo tam się chyba gromadziło wszystko w Rzeszowie. [...] Biedowali strasznie. Jak brat opowiadał. Ale to by musiał pan z bratem porozmawiać we Wrocławiu, to już jest inna sprawa, nie. No i tak o, poszli na tę wojnę. Z naszej wioski nie zginęło. Dwóch mężczyzn chyba tylko zginęło. Ale dużo, dużo zginęło. Nie powracali już.

A.W.: Wspomniała Pani o Ukraińcach, którzy wygonili państwa właściwie ze szkoły tam w Mościskach. [...]

M.K.: Właśnie mówiłam, że nie mieliśmy. Dopiero później, w czasie wojny, to chyba po tych żydowskich trzech domach, jak już Żydów zabrali, to wtenczas Ukraińcy przyszli na te mieszkanie.

A.W.: Ale oni przyszli sami, czy ktoś ich skierował? Czy oni sami sobie przyszli?

M.K.: Nie wiem. Tego ja nie wiem. To jest, byłam za głupia na te sprawy. Tym się nie interesowałam. Człowiek był nieraz i bardzo głodny. To nie myślało się o takich

rzeczach tylko, aby gdzieś zdobyć jakieś jedzenie. To mniejsza z tym. Nie będziemy na ten temat mówić, ale było bardzo ciężko. Nas była taka duża gromadka z domu, nie? I wyżywić to wszystko. To w niektórych połowa już tak dorastała, że faktycznie potrzebowali co zjeść. Nic nie było. To był ciężki czas. Tego nikt nie wie, kto tego nie przeżył.

A.W.: A kiedy zamieszkali tam Ukraińcy, to oni odnosili się jakoś wrogo, czy nie? Nie było takich jakichś?

M.K.: Myśmy przecież cały czas z nimi dobrze żyli. Co byli tylko... Tylko Bandera jakież... Ale to było wszystko [...] Niemcy to wszystko robili. [...]

A.W.: Pamięta Pani, jak wyglądały Mościska, czy jak wyglądały Rzadkowice?

M.K.: No pamiętam wszystko. Ale co mi z tego. Przecież panu nie narysuję tego, nie? Zdjęcia takich nie ma. No miasteczko jak miasteczko. Było skromne. Mieliśmy tam tak: dwa kościoły to były rzymskokatolickie, były chyba trzy bożnice żydowskie i chyba dwa kościoły były prawosławne... No nie prawosławni, tylko grekokatolicy. No to tak było. No to dosyć takie miasteczko było duże. Rynek był duży, sklepy te wszystkie pamiętam.

A.W.: Często Pani jeździła przed wojną z rodzicami do Mościsk na zakupy?

M.K.: Nie. To się chodziło, bardzo bliźiutko było. Ja wiem, może półtora kilometra. Zakupy, proszę pana, zakupy. Jakie zakupy jak pieniędzy brakowało, zawsze brakowało. Ojciec się wybudował zaraz jak się poženili. Znaczy z mamą. Później pożyczone pieniądze wziął na dom. Znaczy jako posag mamy, a później jeszcze brakowało, to z jakiś tam kasy zapożyczył. Później był tylko kłopot. Jakież te pieniądze, dewaluacja była czy coś takiego, tu tylko miał kłopoty z oddawaniem tych pieniędzy. Ojciec miał zawsze duże kłopoty. Tego panu nie powiem, bo to nie moje sprawy były. To już rodziców był kłopot. No ale wybudowali się. Mieliśmy ten domek swój. Własny. Kłopoty. Gromadka dzieci była. I to tyle co zarobił na tych butach. Zawsze miał tych chłopaków też, przy terminie, bo tato był mistrzem. Bardzo ładne rzeczy robił. A później było coraz ciężej.

A.W.: A w czasie wojny też zarabiał, pracując jako szewc?

M.K.: No czasem jeszcze robił. Ale ponieważ tak nie było, nie było po prostu tych narzędzi szewskich. A skóry też już nie było, bo już Żydów nie było wtenczas. Żydów powywozili to jest takie... A to było bardzo takie przykre sprawy. Te wszystkie budynki pozostawili. Bo Żydów było bardzo dużo w Mościskach. To ich tych wszystkich pozabierali. To straszne było. Jednej nocy ich gdzieś tam zwołali. Nie wiem... Zganiali tych Żydów wszystkich na rynek a później wywozili. Kto nie mógł. Jakiś stary był, to

strzelali. A cuda opowiadali, że tam nawet do rzeźni ich zagonili. Bo tam taka rzeźnia była duża, w tych Mościskach. To gdzieś tam zagonili do tej rzeźni. Kazali im tą krew lizać po tych, po tych... Ach proszę pana, to nie to, to...

A.W.: *Straszne rzeczy.*

M.K.: To niemiecka robota była. To nie nasza robota była.

A.W.: *A kiedy przyszli Rosjanie?*

M.K.: Rosjanie jak przyszli w trzydziestym dziewiątym roku. Tak? No to to pamiętam. Bo to się w pierwszą... Naprzód byli Niemcy do nas wkroczyli. A później Niemcy ustąpili jakiś tam kawałek, za San czy coś takiego, i wtenczas weszli do nas, to chyba siedemnastego września, no to wtenczas przyszli do nas Ukraińcy. Znaczący Rosjanie, nie Ukraińcy. No to był taki spokojny żołnierz. Człowiek też nic nie wiedział, co będą się robić. Oni też biedaki byli. To było wszystko głodne. Proszę pana, oni nawet uczciwych butów na nogach nie mieli. Dopiero później, po tych polskich oficerach, po tych żołnierzach, dopiero się ubierali. Dopiero się dowiedzieli, jak oficer wygląda. Wtedy było wszystko biedne, a pamiętam później, jak już w czterdziestym czwartym chyba roku, co szli już na Berlin: „Chazajka⁴⁶ nie majesz już chlibka kawałeczek?”. Kawałeczek chlibka. To żołnierz, który szedł z frontem, nie miał chleba. [...] Tak było. O Boże. Tak specjalnie nie rabowali, bo już nie było co rabować, ale chleba kawałeczek chciał. Takie było wojsko zaopatrzone. No nie mieli nic. Gdyby Ameryka im nie dała, toby też nie zwyciężyli. Boże, kto to wymyślił tę wojnę i teraz...

A.W.: *A pamięta Pani jeszcze wydarzenia podczas wojny? Czy Rzadkowice jakoś się organizowały przeciwko Ukraińcom, żeby ochraniać wioskę?*

M.K.: No organizowali się. Przede wszystkim pilnowali, żeby te napady były tam jakieś, no w nocy przeważnie, albo podpalili, albo mordowali tam ludzi strasznie. No u nas tak jakoś, tak dookoła mieli te wszystkie wsie, to były prawie takie polskie wyłączenie. A gorzej było tam, gdzie były takie mieszane te wsie. No, to było to chyba trzy razy, taki w nocy alarm, w nocy zrobili. Bo te gongi takie żelazne pozakładane były na drzewach. Ja nie wiem. I mężczyźni już, ci młodzi, co troszkę się orientowali, tam jakieś organizacje mieli między sobą. No to pilnowali. Jakieś tam dyżury były. Jak już coś słyszeli, że nie tak, to wtenczas w te gongi walili i wówczas to wszystko się podrywało i każdy już czekał, co będzie, co się dzieje. A myśmy tak troszeczkę na uboczu mieszkali. Jak się wychodzi do wioski, tośmy się bardzo bali. Bo tak było pole zboża wszędzie i tutaj z tej strony to człowiek nigdy nie wiedział, kto, z której strony przyjdzie. To było strasznie. Człowiek nigdy nie wiedział, gdzie cię zamordują. Kiedy. I jak przede wszystkim. I jak. Bo to nie było takie normalne, żeby zastrzelić, ale się

⁴⁶ Хозяйка (ros.) – gospodyni.

znęcali okropnie. I za co? Po co? Rodziny żyły. Dobrze było wszystko, pasowało sąsiedzi. A później... I pamiętam. Tato miał takiego kolegę. Razem w wojsku austriackim. Bo oni w austriackim wojsku byli. I on często przychodził do tata, bo tam już sąsiedzi, taka ukraińska już pół, półpolska wieś była. Przychodził do tata, a tata czy tam buty naprawić czy coś. A już w ten czas te rozruchy takie były z Ukraińcami. I tata się go raz tak pyta: „Michał” - pamiętam to imię - „Michał - mówi - a gdyby ci kazali, tobyś mnie przyszedł i zamordował?”, „A - mówi - jakby mi kazali, tobym cię przyszedł i zamordował”. No. To na własne uszy słyszała. I tato wspominał: „Patrzcie, gdyby kazali, tobym cię przyszedł i zamordował”. Taak. Tak. Strasznie mordowali. Rodzina taka. Jedenaście osób. Pamiętam. Jednej nocy. Obok, zaraz niedaleko od nas. Zamordowali. Granat na przód rzucili do domu. A to było powód tego, bo tam ta pani z tego domu była pielęgniarką w szpitalu. A w tym szpitalu leżał w tym czasie jakiś banderowiec, tak już nazywali, jak to wojsko szło. Banderowiec. I gdzieś on uciec chciał. Ona odpowiadała za to jako salowa. Pielęgniarka była. I ona go zatrzymała. I on mówi: „Ja zginę jeden, ale twoja rodzina pójdzie cała”. Tak jej powiedział [...]. Bo to jeszcze później, jedna osoba została z tej rodziny. No i za jakiś czas przyszedł tam właśnie. W nocy wpadli. Granat rzucili naprzód do mieszkania przez okno. Później wszystkich pomordowali. A jedna dziewczyna chodziła do mnie do szkoły. To się nazywali Bosak. Bosak się nazywali. Hanka Bosak. I ona się gdzieś wcisnęła za szafę. Tak, że jej nie zamordowali. I potem policzyli. Jedenaście osób. Tyle miało być. Właśnie. A ta pielęgniarka to nie była z tego domu. Tylko poszła nocować tam. Bo bliżej jej było z tego. I właśnie ta pielęgniarka to wtenczas została zamordowana. To dziewczyna została później jako świadek. I tak to było proszę pana. I za co? Ja zginę, a ciebie cała rodzina pójdzie. Ludzie mieli kontakty, jakieś tam szyfry. [...] A później przyszli Rosjanie... Ale to w czasie Rosjan też się działo. Tak. Rosjanie byli już i oni to samo robili. Mieli tam swoje kontakty. A to straszne te bandy. Człowiek wiecznie w tym strachu żył. Ciągłe w tym strachu. Goły, bosi. W sklepie nic nie było. Człowiek dorastał. Nie było nic. Ani kury, ani sukienki żeby jakiejś uczciwej, nie było za co, żeby za co kupić. Nie było pracy, że będzie jakaś praca albo do Niemiec cię wywieźć. Gdzie tam do Niemiec. Człowiek był jeszcze za smarkaty, żeby jechać do Niemiec. Tam czasem się szło tam do kogoś popilnować dziecko, czy coś, żeby w domu mniej było ludzi do jedzenia. Niestety. I tak było.

A.W.: Wojnę spędziła pani w Rzadkowicach koło Mościsk i przyszedł rok czterdziesty piąty. Wcześniej już, prawda, wojna się skończyła, a tam już nie było Polski.

M.K.: No nie. Już nie było Polski. Tak to właśnie wszystko było. Tak to ludzie nie szanowali tego. W czterdziestym piątym to ja byłam u jednego lekarza. Tam pracowałam. No jako niania do dziecka, i już zaczynały być repatriacje do Polski. To już w tym czasie było. Także moja siostra starsza pierwsza już wyjechała. Już tam była w Polsce. A później z tym lekarzem ja wyjechałam, z jego rodziną i z jego dziećmi. Także ja już z domu wyszłam, a reszta jeszcze nasza w domu została. To tylko siostra najstarsza, bo brat był w wojsku już też na tej stronie. I ja też z tym lekarzem już do Polski przyjechała.

A.W.: Gdzie Pani przyjechała do Polski?

M.K.: Naprzód do Przemyśla, bo tam był cały zбір. Tam to wszystko się przyjeżdżało. A siostra to już chyba była wtenczas w Krakowie, bo ona wcześniej wyszła za mąż. Akurat jak się wojna skończyła, ona już tam była w tej Polsce. Wyszła tam za mąż i w Krakowie właśnie mieszkała. No to ja z tego Przemyśla [...] pojechałam do niej. Zostawiłam tu to wszystko. Myślałam, inaczej to będzie, zawsze dwie rodziny. No i w Krakowie, jak w Krakowie, też miodu nie było. Bo człowiek zawsze był na cudzym. Nic nie było. A pracy to od razu kto ci tam da. Ci mieszkańcy w Krakowie to oni mieli dobrze. To oni nie byli zniszczeni ani nic. A my gołe i bose przyjechali ze... I też się szukało gdzieś jakiejś służby na lewo u jakiegoś.

A.W.: Udało się gdzieś znaleźć jakąś pracę?

M.K.: Siostra nie dostała. Bo szwagier jeszcze tam miał, bo on jeszcze tam pracował w wojsku i kończył. A siostra... No później już dziecko się siostrze urodziło. No to już musiała to dziecko pilnować. Gdzie tam było pomyślenie o pracy? Człowiek nie miał żadnych jakiś takich znajomości, żeby po prostu dostać jakąś taką pracę. No i w końcu wyjechali tutaj na zachód. Bo szwagier miał kontakty z kolegą, który mieszkał, tutaj o na górze mieszkał, kolega jego. Bo teraz już nie mieszka, bo umarł. I mówi: „Staszek, co się będziesz męczył tam w Krakowie”. Mówi: „Przyjeżdżaj tu. Są domy wolne po Niemcach. Pozostawiali ludzie. Domy są wolne”. A w Krakowie no co mieszkać? Raz mieszkaliśmy troszeczkę w suterenie takiej. Później na takim poddaszu – jedna klitka, a nas już było troje. Tak: szwagier, siostra, maleństwo i jeszcze do szwagra wrócił właśnie z Anglii brat jego. To znaczy później mój mąż. No i tak to się złączyło, żeśmy tu później pojechali. Zostawili ten cały Kraków, bo nie było faktycznie ani ubikacji, ani łazienki, ani... Taki pokoik był na poddaszu. No przyjechaliśmy tutaj. Od razu miodu nie było. W każdym razie ja pracę dostałam chyba zaraz. W czterdziestym... To był czterdziesty siódmy rok. To dostałam pracę tutaj w zakładzie krawieckim i do końca pracowałam tutaj, do końca życia. Z tego poszłam na emeryturę już.

A.W.: W zakładzie krawieckim tutaj w Jugowie?

M.K.: Tak, tutaj jest.

A.W.: Czy w Ludwikowicach?

M.K.: Nie. W Ludwikowicach. Naczy w Jugowie to był zakład krawiecki. Tu wojskowe podobno mundury szyli. I takie dla wojska niemieckiego. Ale ten właściciel, który miał wielkie magazyny z ubraniami we Wrocławiu, to Wachowski się nazywał. Spółka Wachowski i Pniok. To takie było ich. Później, jak już to właśnie Niemcy stąd odeszli, to oni prowadzili ten zakład i tam szyli. Już pamiętam tam różne takie

spodnie drelichowe, takie koszule. To myśmy tam. Tu się zaraz do tego zakładu, jak tylko przyjechałam, do tego zakładu poszłam. No i tak już to do końca życia właśnie pracowałam w tym zakładzie. To było dobre, bo nie musiałam dojeżdżać nigdzie.

A.W.: *Było blisko.*

M.K.: Blisko domu. To sobie wybiegłam parę kroków i to było dobre. W czterdziestym ósmym wyszłam za mąż właśnie za tego męża Grzegorza⁴⁷.

A.W.: *Jak Pani poznała swojego męża?*

M.K.: Jak poznałam. Jak przyjechał. Ja byłam u siostry, a siostry mąż to był jego brat, no to rozumie Pan? No rozumie. No i gadu gadu. Wiedziałam, że nie mam po prostu żadnych takich warunków, żeby się po prostu samemu zagospodarzyć, czy se myślę zawsze w dwójkę jakoś to skombinuje. No był straszy człowiek już. Trzeba było. Tak się musiało. Kojarzyły się małżeństwa, żeby rodzinę stworzyć jakąś.

A.W.: *A skąd pochodził mąż?*

M.K.: O był z sąsiedniej wsi. Zaraz tam koło nas. Kościele⁴⁸ nazywało się, taka miejscowość.

A.W.: *A dużo tutaj osób do Jugowa trafiło właśnie tam z okolic Mościsk, z Rząd-kowic?*

M.K.: Kilka tych z naszej rodziny bliższej. No oni później przyjeżdżali jeszcze. Reszta rodziny mojej no to dopiero w pięćdziesiątym piątym roku przyjechała. [...] Kilkanaście takich co znam. A to wszystko to nie. To obce. Najwięcej to z Francji przyjechało, ale oni to sobie najlepsze domy pozajmowali, ci z Francji. Najlepsze. A człowiek już taki przyjechał... Mieszkałam już tutaj u siostry. To był taki domek Baby-Jagi. Sześć okienek dookoła i strzecha słomiana. Nic nie było. Takie prycze tylko drewniane. Nic nie było. No tośmy zaczynali wszystko od nowa. Wszystko. Od pończochy, od skarpety, od bielizny. Nic nie było. I myśmy też nic nie mieli. Rozumie Pan?

A.W.: *A gdy przyjechała Pani do Jugowa, to mieszkali tutaj jeszcze jacyś Niemcy?*

M.K.: Kilka rodzin jeszcze było. Dosyć długo nawet tutaj mieszkali. Niektórzy umarli, a niektórzy powyjeżdżali. Niemki pracowały tutaj w zakładzie, ale później wyjeżdżało to wszystko za jakiś czas do Niemiec.

⁴⁷ Grzegorz Kocur (1909-1980).

⁴⁸ Zakościele – dawna wieś, obecnie część Mościsk.

A.W.: *Pamięta Pani jak odnoszono się do nich lub jak oni odnosili się do Polaków, którzy tutaj zamieszkali?*

M.K.: Co oni się mogli odnosić. W pracy to myśmy zgodnie żyli. Z Francuzkami, z Francuzami to może inaczej było, bo zawsze te Francuzki tylko szprechały⁴⁹ sobie po swojemu, po francusku i były zadowolone, że myśmy nie słyszały nic.

A.W.: *Nie rozumiało się, co one mówią.*

M.K.: No nie, bo francuskiego języka żeśmy nie umiały. A po polsku one rozumiały dobrze, ale bardziej, znaczy się były ubrane. To znali się tam, to swoje towarzystwa mieli. A myśmy takie obce były to.

A.W.: *Przyjechała Pani do Jugowa jako młoda dziewczyna. Czy w Jugowie były takie miejsca, gdzie można było spędzić czas wolny? Czy organizowano jakieś zabawy?*

M.K.: Zabawy były co jakiś czas. Chyba w każdą sobotę mi się zdaje. Ale, proszę Pana, nie brałam w tym udziału. Człowiek nie był ubrany. Nie był dostosowany. Nie znał towarzystwa tego żadnego, a nie miałam takich na lewo, na prawo. To, to nie było. Się po prostu człowiek... Człowiek się krępował iść w takie nieznanych sobie całkiem. [...] Oprócz tych potańcówek to chyba... Nie wiem, czy były jakieś. Jakies występy robili ze dwa razy, ze trzy razy, do takiego należałam tam zespołu. Przedstawienie takie było.

A.W.: *Jakiś zespół teatralny istniał tu w Jugowie?*

M.K.: Tak.

A.W.: *Ale taki amatorski?*

M.K.: Tak, taki amatorski. No to dwa razy było takie coś. Nawet do jednego ja należałam. Brałam wtenczas udział w tym, a takie... A później to wszystko się skończyło [...].

A.W.: *A czy przyjeżdżały jakieś zespoły z zewnątrz, jakieś takie?*

M.K.: Jakies chyba kino było jakieś objazdowe [...]. Był taki budynek, w którym były, się odbywały. Były takie początkowe radia. Później, jak już przyszły, no to tam już jakieś radio się kupiło czy coś. Takie powolutku człowiek klecił to wszystko. No.

A.W.: *A czy tutaj w Jugowie był lekarz?*

⁴⁹ *Sprechen* (niem.) – mówić, rozmawiać.

M.K.: Był. W pierwszej chwili lekarz był. Naprzód był niemiecki lekarz, który jeszcze był, ale wyjechał. A później mieli my doktora Brzozowskiego⁵⁰, który chyba z Szwajcarii przyjechał. Chyba z Szwajcarii. Zurych, to jest w Szwajcarii?

A.W.: *W Szwajcarii. Tak.*

M.K.: Długo był. Ale on później w narkotyki wszedł. Także on później był takim narkomanem. No musiał. Był bardzo dobry lekarz. Bardzo długo tu pracował. No w końcu... Nie pamiętam. Chyba tutaj nie umarł, ale po prostu zabronili mu już chyba pracować. Tu był z matką. Żony nie przywiózł swojej tutaj. Ale z matką był, no z cicią. To matki siostra to była z nim. Szczupły taki. No dobry był lekarz. Chodziłam do niego, jak trzeba było. Mądry był.

A.W.: *Kiedy poznała Pani swojego męża? Pamięta Pani ślub, suknię ślubną?*

M.K.: W czterdziestym ósmym roku. Bardzo szybko. Dwadzieścia lat miałam, [gdy] za mąż wyszłam. No trzeba było prosię pana. Trzeba było mieć swój ką.

A.W.: *Państwo zamieszkali w jakimś innym domu czy mieszkali dalej razem?*

M.K.: Jeszcze po ślubie mieszkałam właśnie z siostrą. Ona tam obok mieszka. To teraz nowy dom, co sobie zbudowali. Już się spalili. Tak nieszczęśliwie to wszystko poszło. Ta stara buda się spaliła, to teraz mają ładny dom. Tam żeśmy mieszkali jakiś czas, a tutaj wyjeżdżało z tego domku. Tutaj się syn dobudował teraz. A w tym domku mieszkała taka jedna [...] pani. I ona wyjeżdżała do [...] Dzierżoniowa⁵¹. Bo jej mąż siedział w więzieniu, a ona tu była sama z dziećmi. Nie wiem, jakie tam były jego przewiny. A my w tym czasie, starali się jako mężatka, jako mąż, repatriant czy jakoś repatriantka byłam tam, żeby to mieszkanie dostać. Bo ona miała to zostawić, a tam się przenieść do Dzierżoniowa. No i wtenczas jakżeśmy sobie załatwili to z tym mieszkaniem, to myśmy się przeprowadzili od siostry tutaj. No i tu już do tej pory mieszkałam. Nie wiem. Chyba pięćdziesiąty, pięćdziesiąty... Nie pamiętam. Czterdziesty... Nie pamiętam. Gdzieś około pięćdziesiątego roku. Tam dwa lata po tym wszystkim.

A.W.: *A mąż podczas wojny był w wojsku?*

M.K.: Podczas wojny został zmobilizowany w trzydziestym dziewiątym roku. No i później był w wojsku. Wszystko się później rozleciało. Dostał się do niewoli rosyjskiej. I tam nawet potem koło domu szosy budowali tymi żołnierzami polskimi.

⁵⁰ Mieczysław Brzozowski przyjechał do Jugowa w 1949 roku. Był kierownikiem miejscowego ośrodka zdrowia (T. Bieda, *op. cit.*, s. 201; *Opowieść Stanisławy Kocur. Jugów*, [w:] *Dziedzictwo kulturowe Gór Sowich*, red. M. Bisek-Grąż, Wałbrzych 2014, s. 40).

⁵¹ Dzierżonów (niem. *Reichenbach im Eulengebirge*) – miasto w Polsce, siedziba powiatu dzierzoniowskiego w województwie dolnośląskim. Do 1945 roku w granicach III Rzeszy.

Szosa budowali do Lwowa. A później, jak już się ta wojna zaczęła z Niemcami, no to zabrali w głąb Rosji, a później już to Anders ich tam [wyprowadził z tego]. Tam była straszna bieda. Mąż to opowiadał. Tam była straszna bieda w tej Rosji. [...] To nie mieli pojęcia. Nasi oficerowie to jednak byli wykształceni ludzie. I technicy, i mechanicy, i różnie sobie jednak radzili. Ale tak ich nieszczęśliwie wymordowali. Tak ich nieszczęśliwie... Taki kwiat. Kwiat, inteligencję naszą. I chyba tę inteligencję zawsze likwidowali. Jak jedni, tak drudzy. Mądrych ludzi nie potrzeba, a głupiemu wszystko można powiedzieć.

A.W.: Skąd trafił mąż do Jugowa? Bo był na Zachodzie?

M.K.: Tak. Wrócił później. A żeby nie był jakimś tam oficerem. Nie miał jakiegoś tam wykształcenia, nie był tam jakimś dyrektorem, nie. To nie przedstawiało dla nich wartości. No i dlatego przyjechał, i nie był aresztowany. No, ale zawsze było podkreślone, że w Armii Andersa. Zawsze, że w Armii Andersa [...]. To mu specjalnie nie dokuczali. Pewnie. Pracował tu w elektrowni. Była tu elektrownia. Znaczący w Ludwikowicach była⁵².

A.W.: Długo ta elektrownia istniała w Ludwikowicach?

M.K.: Sporo. Widzi Pan, teraz to mi się już nie pamiętają. Ale miała specjalne... Długo ta elektrownia była. Ja wiem do którego roku... Trudno mi powiedzieć. Chyba z piętnaście lat na pewno trwało tutaj. A później zaczęli zmieniać te linie, to wszystko. Nie wiem [...]. No i on pracował w tej elektrowni jako murarz. Bo zawsze te piece, czy jakieś elektryczne, co jakiś czas musieli, nie wiem, co tam robić, czyścić. I tam je naprawiać. To raz w tygodniu szedł na całą noc i tam pracowali przy tych piecach. Tyle, że prąd był za darmo za to, że pracował tam w tej elektrowni.

A.W.: A tutaj już w Jugowie, jak Pani zamieszkała, był prąd?

M.K.: Tak. Był prąd.

A.W.: Kiedy miała Pani jakiś czas wolny dla siebie, to co Pani lubiła robić?

M.K.: A to się chodziło. Latem się chodziło na grzyby, na jagody. Ale jaki to był spacer, jak ja miałam wszystko pod ręką. A las, grzyby, jagody. Na to się chodziło, a tak domem trzeba się było zająć. Coś zrobić. Coś uszyć. No, zaczynało się od przesteradła. Nie było nic. I grosza.

A.W.: Tutaj w Jugowie był już sklep?

⁵² W Ludwikowicach Kłodzkich istniała elektrownia utworzona przy kopalni „Waclaw”.

M.K.: Były i piekarnie. Były chyba trzy piekarnie jeszcze, pamiętam były. I sklepy były. I restauracje były. To wszystko było. Ale później jak po tych szabrowników jakiś, jak to nazywali tych co wywozili, sprzedawali, kombinowali.

A.W.: *A to były jeszcze poniemieckie piekarnie i sklepy?*

M.K.: Chyba poniemieckie. Później to wszystko poniszczyli. I tak to jest. Ale to było. Wszystko było.

A.W.: *Wspomniała Pani szabrowników. Często się tutaj słyszało, że ktoś gdzieś tutaj chodzi? Czy było takie poczucie, że bano się wyjść z domu, bo kogoś można spotkać? Czy raczej nie, czy raczej było tak spokojnie?*

M.K.: Wie Pan, tymi sprawami ja się nie interesowałam. Żeby tam, kogo napadali, to chyba nie było tego. No, ale jakieś konszachty mieli. To kupił, to sprzedał, to handlował, to wywiózł. To takie coś było. Nie wiem.

A.W.: *A gdzie tutaj ludzie pracowali z Jugowa? Inni mieszkańcy.*

M.K.: No do DZPJ⁵³. No taka była włókiennicza fabryka. No elektrownia była. Kopalnia była. To przede wszystkim w tej kopalni. Zakłady takie. No były zakłady pracy. Gazety co piszą. [...] Szkoły były. To w Nowej Rudzie były te szkoły niższe i wyższe [...].

A.W.: *A tutaj była parafia od razu?*

M.K.: Tak.

A.W.: *Czy jeszcze był ksiądz niemiecki?*

M.K.: Ja już pamiętam tylko polskich księży. To już dużo się zmieniali. Były częste zmiany. Nie każdemu odpowiadało tu. Nie wiem.

A.W.: *A gdzie było lepiej – tam w Rzadkowicach czy tutaj w Jugowie?*

M.K.: Wie Pan... No nie wiem. Nie wiem. Trudno mi to określić. Tu człowiek już sobie budował sam swoje życie. A tam się żyło w rodzinie. To jest zupełnie co innego. Początkowo każdy jeszcze mówił: „Pojedziemy tam z powrotem”. Ale ja sobie tak myślę, taka głupia też nieraz byłam. Se myślę: „No jak przecież wojna się skończyła. Czy my możemy iść walczyć, że my tam pójdziemy z powrotem? No, nie”. No to, to takie naiwne było myślenie.

⁵³ Dolnośląskie Zakłady Przemysłu Jedwabniczego „Nowar” w Nowej Rudzie.

A.W.: Czy kiedy Pani już tutaj mieszkała, pojechała tam Pani zobaczyć?

M.K.: Nigdy. Nigdy już nie byłam. Rodzice przyjechali w pięćdziesiątym piątym roku. Bośmy ich tutaj sprowadzili [...]. To wtenczas pracy też nie brakowało nikomu. Każdy się urządzał po swojemu, jak mógł.

A.W.: A jak układało się życie tutaj z innymi mieszkańcami?

M.K.: Proszę Pana, człowiek w swoim domu siedział. Ja nie biegałam, jak to mówią, po chałupach, żeby tam jakieś plotki robić, żeby coś. Człowiek miał swoje zajęcie. Przychodziło się z pracy, to trzeba się było zająć. Ugotować ten obiad czy wyprać coś. To nie było tych pralek wówczas elektrycznych. Trza było wszystko rękami robić. No i na drutach się robiło, i różnie się szyło z kawałeczków. Bo nie było. Jeszcze człowiek nie miał niczego. Z wszystkiego się budowało. [...]

A.W.: Czy wyjeżdżała Pani gdzieś z Jugowa?

M.K.: Do Bytomia, bo tam rodzina była ze strony męża. Tam była duża rodzina. Do Bytomia tośmy tam czasem jeździli. Oni też czasem tu przyjeżdżali do nas z dziećmi. Tak na wakacje. Ręce były zajęte robotą. No, bo trzeba było tam przy tych dzieciach trochę pomóc i swoich trzeba było... No to tak rodziny przyjeżdżały. Powietrze było. Ten Bytom taki zakurzony. No, ale zawsze tu już odpoczywali sobie. Ale to zawsze człowiek miał ręce zajęte pracą. Trzeba było zgotować i tym małym, i sobie. I co przyjechał jeszcze. Często przyjeżdżali do nas z tego Bytomia. A to rodzina była duża męża. Ich było siedmiu braci. Także i moja rodzina była duża, i ich rodzina była duża. Także myśmy tak cudów nie robili. Tutaj nie było czasu na potańcówki, na podskakiwanie, na nic. A później, to se myślę, no co mi ta potańcówka daje? Nic. Jeszcze miałam swojego męża, to gdzie miałam tańca szukać. Jakiejś rozrywki. Po co? [...].

A.W.: Kiedy mieszkała już Pani w Jugowie, to czy z okolic Rządkowic przyjeżdżała jakaś dalsza rodzina, która tam została?

M.K.: To tam były kłopoty z przyjazdem, proszę Pana. Raz, że kosztowało to dużo. Dużo starań było. A później, jak już się przyjechało, to ludzie nie mieli na to pieniędzy, żeby tak sobie o podróżować. Teraz tam już prędeży, bo każdy jakiś ten grosz ma. A wtenczas z każdym grosikiem trzeba się było liczyć. No. Nie było tak. Także ja już tam nigdy nie pojechałam. Siostra była jeszcze kilka razy tam. No później taki handel szedł. Wymiany. Stamtąd się coś przywiozło tutaj. Zawiozło się tam jakieś ubrania, bo nie było tego. To jakieś grosze tam komuś przychodziły. Ja tam nigdy nie była.

A.W.: Nie chciała tam Pani już wrócić?

M.K.: A do kogo miałam tam pójść? Tam ktoś z rodziny. No stryjka zamordowali tak strasznie, to córka jego wyjechała też do Polski. Tylko miał tę jedną córkę, ale okropnie go zamordowali. Boże...

A.W.: *Ukraińcy?*

M.K.: Proszę? Tak. Ukraińcy. To była taka mieszana wieś. Jezus... Tak się znęcać nad człowiekiem... I za co? On był Polakiem [...]. Sąsiad. Chyba sąsiad nawet to zrobił. Boże... Tak wszystkich tych mądrzejszych ludzi takich na stanowiskach. Czy tych leśniczych, czy jakiś. To wszystko mordowali tam.

A.W.: *Pamięta Pani swój ślub, zaproszonych gości?*

M.K.: Nie było żadnej rodziny, proszę Pana. No z czego było ten ślub robić w czterdziestym ósmym roku? No co to było? Jakaś sałatka. Już w ten czas na ogrodzie mi sałata urosła. To pamiętam, że była sałata do obiadu. Jakiś taki skromny obiad. No szwagier grał na harmonii i też miał jeszcze kolegę, który też chyba grał. To chyba ci kumple przyjechali, to była taka muzyczka. To było w jednym takim mieszkaniu. Takim malutkim. Tam u siostry jeszcze. Jeszcze tu nie mieszkałam tylko tam u siostry. Nie ma co wspominać, proszę Pana. Prezent dostałam taki, chyba dwa garnuszki takie, dwa garnuszki takie do kawy czy tam do czegoś. Jeden kwiatek doniczkowy taki. I to były moje... Aha, i koleżanka mi to..., z Rosji też przyjechała i oni tu trafili do takiego tu jeszcze domku niemieckiego dobrego, że tam mieli jeszcze dużo rzeczy, no to mi dała taki obrus biały. Ten obrus długo miałam. Zawsze na uroczystości sobie ten obrus zakładałam. Tyle było prezentów. Tak. [...]

A.W.: *Wspomniała Pani, że Francuzi przyjechali tu pierwsi i wzięli sobie lepsze domy. To te domy każdy brał sobie, jak chciał czy były one jakoś przyznawane?*

M.K.: No, bo były puste. Ja nie wiem, jak oni tam. Jak były puste, to oni się tam wprowadzali z rodzinami i tak było. Mieli tam ładne takie domki. Pobudowane całe osiedla takie były. To niby górnicze, ale to ładne, młode były. A tutaj to już były takie stare graty. Raz jak ktoś mieszkał, wyprowadził się. Drugi raz się wyprowadził tam, co siostra mieszkała. No to tam już nie było nic. Nic nie było. I stare łóżka tylko się tam. Nawet nie wiem, czy słoma była, czy sienniki trzeba. No, mówię Panu, prowizorka. Nic nie było. No. Zaczynało się od zera.

A.W.: *Co sprawiało Pani radość? Jak Pani przyszła, zamieszkała tuż po wojnie. Były takie rzeczy, które sprawiała radość?*

M.K.: A jak się człowiek spotykał w rodzinie, przy świecach czy coś. To tak się człowiek cieszył, że razem rodzina jest. Jeszcze jakoś wszyscy, że względnie zdrowi. A później to się zaczęły i choroby, i wszystko. I różne dolegliwości.

A.W.: A uroczystości rodzinne tutaj jak obchodzono?

M.K.: No to zawsze się schodziło, się gościło i czy komunie święte, czy to wszystko, to już później dzieci podorastały i tak to było. Raz u jednego raz u innych ludzi. Od domu. Co roku to był ktoś inny. To się sprawiało te uroczystości. Jeszcze szwagier na harmonii grał. Lubiło się potańczyć. Jeszcze jak nogi chodziły [...], lubiłam tańczyć, ale tak za bardzo nie było z kim. Życie nie puszczało do tańczenia. [...] Był taki zespół. My to mówili, że francuski ten zespół, ale oni takie jakieś. Nie lubiłam tej ich muzyki. Lubiłam tych naszych właśnie starszych co byli. Oni się później rozsypali. To był szwagier, perkusja nie tam była, tam była trąbka, skrzypce tam były. Takie tam nasze stare melodie. Nie tylko stare. Takie i nowoczesne, i wszystko. Lubiłam ten zespół.

A.W.: A jak wyglądało życie podczas okupacji niemieckiej w Rzadkowicach?

M.K.: Oni pozajmowali te dwory [...]. Zaraz tam obok, kawałek dalej. Kresy... Kresowice tam był dwór [w Rzadkowicach nie było dworu – A.W.]. I później wszystkie te pola co zostały naprzód Rosjanie, jak przyszli, to porozdzielali te wszystkie pola. Kazali ludziom, komu tam brakowało. To ludziom tam porozdawiali te działki. A później jak już Rosjanie poszli, no to przyszli Niemcy. To wtenczas już te dwory to oni wszystko łączyli razem i tam siali jakąś gumę, cukrowe buraki. To się chodziło wtenczas od rana do wieczora. Trzeba było pójść i tam tą jakąś działkę musiał zrobić. Ile w rodzinie nas było, to wszystko szło. Kto był tylko zdalny do pracy.

A.W.: Z czego utrzymywano się w domu podczas wojny?

M.K.: No z tego co się troszeczkę tego swojego chleba miało, co na swoim polu własnym urosło i to jeszcze zabierali Niemcy. Po domach chodzili, po wszystkim szukali. Jak ktoś coś schował tego zboża, to zamordowali później człowieka albo zbili tak strasznie, jak znaleźli jakąś garść zboża czy coś. W domu byli młynki. Takie żarna. U nas nawet był taki młynek, który się trzymało tam jeszcze jak krowy. Tam się mełło na tym żarnie.

A.W.: Pamięta Pani, czy też Pani tymi żarnami kręciła?

M.K.: No kręciłam. Można było. No. Tylko człowiek był taki... Nie miał jeszcze tyle siły. Czasem ktoś przyszedł, żeby też sobie zedrzeć tego no... Bo nie wszyscy mieli te żarna. A ktoś miał więcej, to przyszli zabrali. Niemcy wszystko zabierali dla wojska. Coś trochę chyba cukru dawali za te, co się buraki robiło. To później cukru i te wytłoki z tych buraków, i te co przychodzili z cukrowni i z tych Boże, nawet placki się z tych wytłoków robiło. Szkoda, szkoda mówić na ten temat. A nie było nic zboża kupić. Tam gęsiarnia taka była też w tych Mościskach. Żydowska jeszcze, bo ten tam tego. Tam czasem jeszcze tato dostał od Żyda takiej kaszy, mielonej grubo, nie.

A.W.: *To było przed wojną jeszcze czy w czasie wojny?*

M.K.: To w czasie wojny, w czasie wojny. To tam po kryjomu coś dostał. To przyniósł do domu i mama tam te jakieś placki skręciła z tymi... Ach... Aby coś nakarmić tą czeladę.

A.W.: *Ciężko było.*

M.K.: Strasznie. Jezu! [...]

A.W.: *A rodzice pochodzili z Rzadkowic?*

M.K.: Mama z sąsiedniej wsi – Rudniki⁵⁴. A tata chyba z Sławkowic⁵⁵. Widzi Pan, nie wiem tego. Człowiek odjechał w świat. Nie popytał się wszystkiego. Inne rzeczy przychodziły. To już nie. To już uciekło. Nieraz my się właśnie z siostrą zastanawiały skąd mama, znaczy się, skąd pochodziła babcia nasza. Naczy ojca matka. Ojca naszego matka. No nie wiem. No i to są takie zagadki. Nie było się kogo popytać. A później swoje życie człowiek zakładał. Wyjechał. No to co to. Wszystko poszło. Teraz by się pytało. A już nie ma rodziców. Nie ma nikogo. I z kim teraz podyskutować na ten temat. [...]

A.W.: *Tam w Mościskach wspominała Pani, że były dwa kościoły. Oba były katolickie, czy był tam jakiś zakon?*

M.K.: Oba. Jeden był redemptorystów. Ojciec zakładał ten klasztor – Bernard Łubiński⁵⁶ [...]. Starają się o jego beatyfikację. To bardzo wartościowy był człowiek. To on właśnie ten klasztor założył. I tam to seminarium było. I dużo pracy włożył w to. I później jak była ta zaraza. Nie wiem, czy po tej pierwszej wojnie czy coś takiego, tej światowej. Ludzie na cholerę umierali [...]. Tam, pamiętam, ten cmentarz był. To jeszcze mówili. Ten cmentarz choleryczny. Tak nazywali [...]. Redemptoryści to są wartościowi ludzie. Tam zawsze się opiekowali tą młodzieżą i tym biednym... Zawsze jak wracałam ze szkoły, pamiętam, to przy tym klasztorze zawsze w południe już tam takie kotły były wynoszone. Tak jedzenie pachniało nieraz. Pełno z puszkami czy z garnkami tam ludzie przychodzili. Ci, co im właśnie źle było, to zabierali sobie to jedzenie. Co dzień.

A.W.: *Ze szkoły wracała Pani na piechotę?*

⁵⁴ Rudniki Lackie (ukr. Рудники) – dawna wieś, obecnie część Mościsk.

⁵⁵ Ojciec pani Marii – Benedykt Ziober – pochodził z Rzadkowic.

⁵⁶ Bernard Łubiński (1846-1933) – polski duchowny należący do zgromadzenia redemptorystów, kandydat na ołtarze.

M.K.: A po co miałam... Kto nas woził, proszę pana. Czasem w zimie, jak było za dużo śniegu, to tam jaki gospodarz sanie za ten, za tego. Zawiązał konia, znaczy zaprzęgnął konia. To my tam posiadały kilka i nieraz była pociecha, bo się wpadło w ten śnieg. Blisko było [...]. Na sankach się jeździło, na łyżwach się jeździło. Tak to sobie każdy zrobił sam łyżwy. Z drewna zrywał, ustrugał, sznurkami i przewiązał i była łyżwa [...]. Tam lodu nigdy nie brakowało. Mieliśmy rzeczkę niedaleko. Tam, jak zamarzła, to było lodu o ho, ho. Pełno. Się jechało po tym. Po tej rzece. Od naszej miejscowości aż do Mościsk się dojechało. Takie były przyjemności nasze. Tak fajnie było, proszę Pana. Złodziejstwa nie. Był jeden złodziej w naszej wsi. I zawsze, i zawsze po trochę odsiadywał. A zawsze, co przyszedł, to znowu ukradł. I później w czasie wojny zastrzelili go. Jakiś tam donos. A tu chyba przez jego żonę, bo tam donosiła nie wiadomo co. Ona była Ukrainka i coś tam.

A.W.: *A dużo było takich małżeństw mieszanych, że byli Polacy i Ukraińcy?*

M.K.: Nie. U nas nie. Ale tak było. Dużo było tak. No mówię Panu. Michał przyszedł: „Byś mnie zamordował?”. A mówi: „Jakby mnie kazali, to bym cię zamordował”. No. Krywiak. Michał Krywiak. To sobie zapamiętałam i pamiętam [...].

A.W.: *Ma Pani rewelacyjną pamięć.*

M.K.: No dużo pamiętam [...]. Smutno było. Najgorzej się człowiek tych Ukraińców bał. Głód to był głód. Ale jak człowiek nie mógł nawet spać spokojnie. Pies zaszczekał, a człowiek już myślał, że już idą. Bośmy tak troszeczkę na boku mieszkali, między takimi polami tylko. Ale zaraz sąsiedztwo siedziało. Ale w każdym zbożu mógł ktoś siedzieć, nie?

A.W.: *Obawiano się tego.*

M.K.: Jezus! To były straszne czasy [...].



Bibliografia

Źródła archiwalne:

Archiwum Ośrodka Pamięć i Przyszłość we Wrocławiu

sygn. AHM-411: Rozmowa z Józefą Wójcik.

sygn. AHM-412: Rozmowa z Marią Kocur.

Opracowania:

- Babiński G., *Pogranicze polsko-ukraińskie. Etniczność, zróżnicowanie religijne, tożsamość*, Kraków 1997.
- Bieda T., *Wśród malowniczych wzgórz nad Włodzicą*, Nowa Ruda 2007.
- Bogucka M., *Życie codzienne – spory wokół profilu badań, definicji*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 1996, t. 3, s. 242-253.
- Borodziej W., *Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby. Polska w stosunkach międzynarodowych 1945-1947*, Londyn 1990.
- Burdziej A., *Utracony Heimat. Pamięć rodzinna a tożsamość „niemieckich wnuków” we współczesnej prozie niemieckiej*, Toruń 2018.
- Doboszewska A., *Pamięć przesiedlonych. Obraz Ukrainy i Ukraińców w świadomości mieszkańców wsi Jugów na Dolnym Śląsku*, „Krakowskie Pismo Kresowe” 2010, nr 2, s. 129-152.
- Ehrenforth K. H., *Mała ojczyzna (Heimat) jako prawo i obowiązek – wyzwania w europejskim kontekście*, „Ars Inter Culturas” 2015, nr 4, s. 281-288.
- Filipowski P., *Historia mówiona i wojna*, [w:] *Wojna. Doświadczenie i zapis*, red. S. Buryła, P. Rodak, Kraków 2006, s. 13-35.
- Historia mówiona. Elementarz*, red. prow. R. Dąbrowski, oprac. M. Kurkowska-Budzan [et al.], Warszawa 2008.
- Jankowiak S., *Przemiany narodowościowe na „Ziemiach Odzyskanych” po drugiej wojnie światowej*, [w:] *„Ziemie Odzyskane” po drugiej wojnie światowej*, red. C. Osękowski, G. Strauchold, Zielona Góra 2015, s. 33-44.
- Kałwa D., Klich-Kluczevska B., *Codziennosc peryferyjna. Pamięć o PRL mieszkańców Ustronia – studium przypadku*, „Konteksty” 2011, nr 1, s. 57-64.
- Kudela-Świątek W., *Interdyscyplinarność w badaniach oral history: konieczność czy sposób na nowatorstwo?*, [w:] *Historia mówiona w świetle nauk humanistycznych i społecznych*, red. S. Niebrzegowska-Bartmińska, J. Szadura, M. Szumiło, J. Kłapeć, Lublin 2014, s. 61-88.
- Kudela-Świątek W., *Odpamiętanie... O historii mówionej na przykładzie narracji biograficznych kazachstańskich Polaków o represjach na tle narodowościowym i religijnym*, Kraków 2013.
- Kurkowska M., *Archiwa pamięci – oral history*, „Historyka” 1998, t. 28, s. 67-76.
- Kurkowska-Budzan M., *Informator, świadek historii, narrator – kilka wątków epistemologicznych i etycznych oral history*, „Wrocławski Rocznik Historii Mówionej” 2011, nr 1, s. 9-34.
- Nitschke B., *Wysiedlenie czy wypędzenie? Ludność niemiecka w Polsce w latach 1945-1949*, Toruń 2000.
- Opowieść Stanisławy Kocur. Jugów*, [w:] *Dziedzictwo kulturowe Gór Sowich*, red. M. Bisek-Graż, Wałbrzych 2014.
- Orłowicz M., *Ilustrowany przewodnik po Przemysłu i okolicy*, Lwów 1917.
- Ruchniewicz M., *Tzw. repatriacja ludności polskiej z ZSRR w latach 1955-1959*, „Dzieje Najnowsze” 1999, nr 31/2, s. 171-177.

- Ruchniewicz M., *Repatriacja ludności polskiej z ZSRR w latach 1955-1959*, Warszawa 2000.
- Stępnik A., *Pogranicze jak przestrzeń badawcza*, [w:] *Galicja 1772-1918. Problemy metodologiczne, stan i potrzeby badań*, t. 1, red. A. Kawalec, W. Wierzbieniec, L. Zaskilniak, Rzeszów 2011, s. 13-20.
- Szarota T., *Życie codzienne – temat badawczy czy tylko popularyzacja?*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 1996, t. 3, s. 239-245.
- Traba R., Bömelburg H. J., *Wspomnienia i kultura pamięci. Ucieczka i wypędzenie w niemieckich i polskich relacjach naocznych świadków*, [w:] *Kraina tysiąca granic. Szkice o historii i pamięci*, Olsztyn 2003, s. 199-210.
- Urban T., *Utracone Ojczyzny. Wypędzenia Niemców i Polaków w XX wieku*, Warszawa 2007.
- Wysiedlenie, wypędzenia i ucieczki 1939-1959. Atlas ziem Polski. Polacy, Żydzi, Niemcy, Ukraińcy*, red. W. Sieniewicz, G. Hryciuk, Warszawa 2008.

Strony internetowe:

www.gosc.pl



Аркадіюш Станіслав Веньх, 3 Мостиськ до Югова. Спогади Йозефи Вуйцік та Марії Коцур, двох репатріанток із так званих Кресів

Історія мешканців колишніх польських прикордонних земель між сучасною Україною та Польщею є цікавою темою досліджень, особливо стосовно таких питань, як повсякденне життя. Проте усноїсторичні джерела допомагають ознайомитись із цією темою краще. У цьому тексті представлені транскрипти двох бесід із сестрами Юзефою Вуйцік (1930 р.н.) та Марією Коцур (1928 р. н.). Обидві героїні народилися і провели свої молоді роки в околицях Мостиськ поблизу Львова, а після Другої світової війни вони були переселені в Югів в Нижню Сілезію. Інтерв'ю були проведені в 2014 році як частина дослідницького проекту в галузі усної історії „Повсякденне життя мешканців підніжжя Совиних гір в 1945-1970 рр.”

Ключові слова: усна історія, Мостиська, Югів, переселення, повсякденне життя

Arkadiusz S. Więch, *From Mościska to Jugów. Testimonies of Józefa Wójcik and Maria Kocur, Repatriates from the Eastern Polish Borderlands*

The history of the inhabitants of the former Polish Eastern Borderlands is an interesting research topic, especially when connected to everyday life issues. Oral testimonies are important historical sources which help explore the subject better. This paper presents transcriptions of two conversations with the sisters Józefa Wójcik (born in 1930) and Maria Kocur (born in 1928). Both of them were born and spent their prime years around Mościka near Lviv, and after World War II were re-settled to Jugów in Lower Silesia. The interviews were conducted in 2014 as part of a research project in the field of oral history called “Everyday life of inhabitants of the Owl Mountains in 1945-1970”.

Keywords: oral history, Mościska, Jugów, resettlement, daily life